

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBRÓŃCY

Wywiad z Pawłem NAPIERALSKIM
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Poznaniu, dn. 2 czerwca 2008 roku

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badanie zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu... i ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945- 1989, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mógłby się Pan przedstawić?

Paweł Napieralski

Gdzie i kiedy Pan się urodził?

10 lutego 1962 roku. Urodziłem się w Dopiewie, okolice Poznania, dwadzieścia parę kilometrów od Poznania, wioska.

Chciałbym porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny: kim byli Pana rodzice, jaki zawód wykonywali?

Mama miała zawód sprzedawczyni w sklepie, ale nie pracowała. Wychowywała dzieci. Miałem troje rodzeństwa, tak że było nas czworo dzieci. Miałem w związku z tym mnóstwo pracy w domu. Mój ojciec ma wyższe wykształcenie ekonomiczne. Pracował jako główny księgowy, dyrektor ekonomiczny; jakieś takie funkcje pełnił. Teraz jest na emeryturze.

Gdzie mieszkali Pana rodzice?

Mama nie żyje. Ojciec mieszka na osiedlu pod Lipami w mieszkaniu, w którym ja mieszkałem w momencie aresztowania, w Poznaniu.

Czy mógłby Pan coś powiedzieć na temat swojego domu rodzinnego: czy rodzice byli zaangażowani w jakąś działalność społeczną, jakiego rodzaju była ta działalność?

Nie, rodzice nie byli zaangażowani w działalność społeczną. U ojca czuło się niechęć do komunizmu. Nie był w Partii. Zresztą, tak jak pamiętam, kiedyś uzależniano decyzję o przyznaniu mu jakiegoś stanowiska dyrektorskiego od tego, że miał się zapisać do Partii. Był nawet wezwany do KW w Poznaniu, dlaczego nie chce się zapisać do Partii. On mówił, że jest katolikiem, a Partia programowo zwalcza Kościół, dlatego on nie jest w stanie tego pogodzić i nie może być w Partii. I nie zapisał się do Partii, a pamiętam, stanowisko tak czy tak dostał.

Rozumiem, że jakbym miał pytać o wartości, w jakich Pan był wychowywany, to można powiedzieć, że były to wartości chrześcijańskie?

Na pewno chrześcijańskie: co tydzień do kościoła, triduum paschalne, gorzkie żale, droga krzyżowa, różaniec w październiku, majowe nabożeństwo. To nam rodzice wpajali i w ten sposób starali się nas wychować zgodnie z nauką Kościoła, tak przynajmniej myślę.

Wtedy jaki tam kościół był w pobliżu? Aniołów Stróżów jeszcze nie było?

Nie, mieliśmy kościół [p.w. św.] Jana Bosko, salezjanów. To był jedyny kościół w okolicy. To była ogromna parafia, [która] wtedy jak budowano te osiedla [i je] zaludniano liczyła ponad 25 tysięcy (nie wiem czy nie więcej). Ja słyszałem taką liczbę. Pamiętam, że było bardzo ciasno w kościele.

Porozmawiajmy teraz na temat Pana działalności społecznej i opozycyjnej: czy należał Pan do jakis organizacji społecznych o charakterze kościelnym, młodzieżowym?

Nie. Szkołę podstawową skończyłem w Poznaniu. To była szkoła Kurczewskiego, chóralna szkoła przy Cegielskiego. To była typowa chłopięca szkoła. To była jedyna chóralna szkoła w Polsce. W szkole podstawowej specjalnie się nie działało. Popołudniami mieliśmy próby: w poniedziałek, środę, piątek. Później była szkoła średnia. Chodziłem do szkoły samochodowej na Ratajach. Właściwie nigdzie się nie zapisałem oprócz TPPR-u (Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej), do którego [nas zapisała] nasza wychowawczyni, pani Kalina, [która] przyjechała ze Związku Radzieckiego. Uczyła języka rosyjskiego. Przyszła kiedyś na jedną z pierwszych lekcji wychowawczych i mówi, że chce nas poinformować, że wszyscy jesteśmy w TPPR. I pytała, czy ktoś się nie zgadza. Nikt nie podniósł ręki i w tym momencie cała klasa w szkole samochodowej była w TPPR. Z tym że ja się oczywiście nie udzielałem w TPPR. Dostałem jakąś tam legitymację. Żałuję, że jej nie mam. To był, jak pamiętam, taki kawałek kartonika. Ale nie brałem udziału w żadnych organizowanych [przez TPPR] imprezach. Nieopodal szkoły był klub „Trojka”. Tam często przyjeżdżali artyści radzieccy i prezentowali swoje umiejętności. Pani [wychowawczyni] zachęcała i żądała wręcz, żeby chodzić tam z klasą. Ja ani razu nie byłem, tak że udało mi się z tego wyplątać. Nie wiem, chyba to [było skutkiem] wychowania ojca. Słyszałem, co kiedyś mówił o Czerwcu [56 roku]. Wiedziałem, że coś się w Czerwcu działo. On rozmawiał z jakąś panią sąsiadką. Akurat musiała być rocznica, bo mówili, że to było właśnie ileś tam lat wstecz: „Pani pamięta...”, „Pan pamięta co się działo? Ale o tym nie można mówić!”. Ja byłem świadkiem tej rozmowy. Słyszałem, że coś było, wiedziałem, że chodzi o jakieś antykomunistyczne wystąpienia, bo wiedziałem co to UB. Ojciec kiedyś opowiadał co było po wojnie. Nie wiele czasu poświęcał na te opowieści, ale obraz tego okresu powojennego ukształtował mi się na podstawie tych właśnie jego szczątkowych informacji. W szkole samochodowej nie udzielałem się też społecznie. Właściwie już przed 80 rokiem, sam byłem troszeczkę zaskoczony swoją niechęcią do 1 maja. To też jest chyba skutkiem wychowania ojca. Ojciec pracując na jakimś dyrektorskim stanowisku dostawał polecenie, że musi być na pochodzie, że będzie sprawdzana obecność. I pamiętam, że ojciec brał mnie i mojego brata i mówił, że idziemy na pochod. My takie małe dzieciaki. Ojciec dostał czerwoną flagę, nie chciał jej nieść i mówi do mnie: „Masz, poniesiesz tę flagę!”. Ja mówię: „Ja jej nie chcę.”. Jako dziecko wiedziałem, że tej flagi się nie powinno nieść i targowaliśmy się z ojcem, kto ma ją nieść. I nikt nie chciał. Ojciec poszedł z dwójką takich małych chłopaków i nikt nie chciał nieść flagi. Woleliśmy jakieś baloniki. I niechęć do 1 maja mi pozostała. Szkoła średnia samochodowa: mechanicy samochodowi, elektrycy, blacharze. Do tej szkoły chodziło

ośmiuset chłopaków i bodajże dwie albo trzy dziewczyny. Wtedy się mówiło, że to jest szkoła na dość wysokim poziomie. W moim procesie edukacji to było nieporozumienie. Wiem, że nie powinienem znaleźć się w tej szkole. Wszyscy uczniowie tej szkoły szli w pochodzie. Wszyscy mieli ciemne spodnie, białe koszule, szturmówki. Przed [pochodem] były ćwiczenia. Nawet z lekcji byliśmy zwolnieni. Pan od PO [ćwiczył nas] nawet na lekcjach, nie tylko na dużych przerwach. Wszyscy wychodzili na takie ogromne podwórze szkolne i tam ćwiczyliśmy jak chodzić [i] takie różne rzeczy. Ale ja nie chodziłem na te pochody. Pani [wychowawczyni] zupełnie nie mogła tego zrozumieć, że ja nie chcę. Obecność na pochodach była obowiązkowa. Ja mówiłem, że nie mogłem, bo wyjechałem z rodzicami. Kiedy indziej pani [wychowawczyni] zobowiązała mnie do złożenia przyrzeczenia wobec klasy: „Napieralski wstań i przyrzeknij całej klasie, że pójdziesz na pochód!”. Wymuszone przyrzeczenie nie ma żadnego znaczenia. Wstałem, powiedziałem: „Przyrzekam.”. Oczywiście na pochód nie poszedłem. Pani [wychowawczyni] na pierwszej lekcji jak tylko zamknęła drzwi od razu strasznie na mnie wrzeszczała. Darła się wściekła: przyrzekłem, a nie poszedłem. Na to jej powiedziałem, że nie miałem białej koszuli. Chciałem pożyczyć od ojca, ale koszula była za długa i w związku z tym nie mogłem pójść. Kręciłem i już w następnym roku dała mi spokój, bo wiedziała, że nic tutaj nie osiągnie. Już nie musiałem chodzić na pochody. Jeszcze jako dziecko pamiętam 76 rok. W 76 roku miałem 14 lat. Byłem na wakacjach w Broniszewicach. Tam były siostry zakonne, dominikanki, znajome ojca. W latach 50-tych odebrano Caritasowi domy dziecka dla dzieci zdrowych i zostawiono tylko ośrodki dla dzieci upośledzonych umysłowo. I taki ośrodek jest (zresztą do teraz) w Broniszewicach koło Pleszewa, 100 km od Poznania na Kalisz. I tam byliśmy z bratem na wakacjach u sióstr. W pewnym momencie słyszałem to wystąpienie Jaroszewicza, gdzie ogłaszał czy przekazywał informację o podwyżkach cen cukru. Nie wiem jak to się stało, że taki czternastolatek oglądał dziennik telewizyjny u sióstr zakonnych i to latem, kiedy można biegać po parku, bo tam był ogromny park, staw, no tereny były wspaniałe do takiego wybiegania się; ale ja pamiętam ten dziennik telewizyjny, w którym mówiono o jakiś zamieszkach, coś o robotnikach. O tych robotnikach jakieś straszne rzeczy opowiadano. I później pamiętam jak Jaroszewicz to odwoływał. Nie wiem czy ja dobrze pamiętam. Myślę, że to tak było, że to Jaroszewicz. W każdym razie pamiętam czerwiec 76 roku. Wiedziałem też, że coś jest nie tak w tej Polsce. Coś mi tutaj nie pasowało. W 80 roku jak się strajki rozpoczęły, to właściwie non stop słuchałem, interesowałem się. Bardzo się ucieszyłem jak powstała „Solidarność”. Bardzo mi się podobało to, że w tramwajach, w autobusach ludzie mówili o Czerwcu i o zdarzeniach, o których ja bardzo niewiele wiedziałem. Jakiś facet jechał i pokazywał same dziąsła. Mówił, że w latach 50-tych mu to zrobili - czerwone pająki. To były dla mnie jakieś zupełnie nowe sytuacje. Bardzo mi się podobało to, że ludzie byli swobodni, że mówili to, co myślą i dobrze się w tym czułem. I byłem taki spokojny. Bardzo dobrze wspominam ten czas, właśnie po sierpniu 80 roku. Trzymałem kciuki za „Solidarność”, żeby była jak najmocniejsza, żeby odebrała w końcu komunistom władzę. Byłem radykalny. Pamiętam odsłonięcie pomnika w Poznaniu. Brałem udział w tej uroczystości jako jedna z dziesiątków tysięcy osób. W każdym razie pamiętam nastrój. Pamiętam jakieś wzruszenie. Pamiętam też biegłem za Wałęsą jak go odprowadzali po uroczystościach do auli uniwersyteckiej. Te obrazki mi pozostały do tej pory. I tak obserwowałem co się dzieje. Te strajki też bardzo przeżyłem. Pobicie Rulewskiego-pamiętam to też dokładnie. Pamiętam strajk, te napięcia przed wprowadzeniem stanu wojennego. Usłyszałem w Wolnej Europie, że rozpatrywana jest możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego. To określenie funkcjonowało: stan wyjątkowy. Specjalnie kupiłem (nie miałem pieniędzy jako uczeń), ale specjalnie kupiłem Tygodnik Solidarność tydzień przed wprowadzeniem stanu wojennego, bo tam był tekst o tym,

jakie obostrzenia mogą zostać wprowadzone, jak stan wyjątkowy zostanie ogłoszony. Przeczytałem, ale tak jak wszyscy, nie wierzyłem w to i przez cały czas dobrze się czułem. Pamiętam z 12 na 13 grudnia mój brat (młodszy ode mnie o rok) wracał od kolegi około drugiej w nocy. Przyszedł do mnie do pokoju, razem spaliśmy w jednym pokoju i powiedział, że coś się dzieje przy Zwierzynieckiej (tam był Zarząd Regionu Solidarności), że mnóstwo zomowców, że oświetlają cały budynek reflektorami, że straszne zamieszanie jest w okolicach Kaponiery. Ale powiedział mi to i zasnęliśmy. O 6 czy o 7 rano ojciec przyszedł i mówi: „Wy tu śpicie, a w Polsce mamy wojnę!”. Wtedy się przebudziłem i strasznie to przeżyłem, że tak nagle [nas] zniewolono czy stłumiono. Miałem do nich pretensje przede wszystkim o to, że mi zepsuli ten spokój. Ja byłem spokojny: jest wolność w Polsce, jest świetnie. Można o wszystkim mówić, wszystko robić, chodzić, a tutaj wprowadzono od razu godzinę milicyjną i wiedziałem, że coś trzeba zrobić.

Podsumowując: do 81 roku jako młody człowiek Pan nie działał, ale świadomość stopniowo się budziła?

Interesowałem się, interesowałem się tym, co się dzieje w Polsce.

Czyli przechodzimy teraz bezpośrednio do stanu wojennego.

Po wprowadzeniu stanu wojennego moimi przyjaciółmi (jeszcze z czasów chóru) byli dwaj bliźniacy: Jacek i Mikołaj. Bardzo często się z nimi widywałem, kontaktowałem. Do nich do domu bardzo często przychodził ich wuj, dominikanin z Poznania, ojciec Stanisław Dobecki (już śp.). Ojciec Stanisław Dobecki- bardzo ciekawa postać. Zmarł chyba ze trzy, cztery lata temu. On w Poznaniu zajmował po wojnie klasztor dominikanów. On był sam. On ryglował drzwi, żeby ktoś tego nie przejął. On zakładał tutaj duszpasterstwo akademickie. On miał nakaz opuszczenia miasta Poznania, UB mu dało nakaz. Miał zakaz wstępu do Poznania. Bardzo ciekawa postać. W każdym razie o. Stanisław bardzo często pojawiał się u Mikołaja i Jacka, u swojej siostry. Mama Jacka i Mikołaja słuchała bardzo dużo Wolnej Europy i bardzo lubiła rozmawiać ze mną na tematy polityczne. O. Stanisław też. I już od o. Stanisława (nie wiem kiedy to było, ale dosyć szybko) dostałem pierwsze gazetki. Pierwsze gazetki- chyba to się nazywało „Niepodległość”, taka czerwona pieczęćka „Niepodległość”, z Gdańska albo z Gdyni. I tam były opisy zająć w Trójmieście po wprowadzeniu stanu wojennego: dosyć szczegółowy [opis] walki, podwórza. Była tam niesamowita atmosfera. Zazdrościłem, że jestem w Poznaniu, że mnie tam nie było. Zresztą bardzo wielu poznaniaków zazdrościło ludziom, czy mieszkańcom Wrocławia, Krakowa, Nowej Huty, Warszawy, Gdańska, bo u nas niewiele się działo. Te demonstracje były niewielkie. Nigdy nie było walki, a my wtedy byliśmy młodzi, my chcieliśmy powalczyć, a tutaj to właściwie demonstracje kończyły się na ucieczce i ewentualnie zatrzymaniu, spisaniu, to wszystko. I od o. Stanisława dostałem pierwszą gazetkę. Później dostawałem czy [to] od o. Stanisława, czy od innych ludzi w tym domu inne gazetki. I to już było nie po jednym egzemplarzu, ale ja chciałem, żeby tego było więcej, żeby można było rozdawać. Rozdawałem to w szkole. W naszej szkole samochodowej byli ludzie świadomi tego, co się dzieje. Szkołę malowaliśmy we dwóch: mój kolega i ja. Ulotki rozrzucaliśmy [też] właściwie we dwóch. Później doszedł jeszcze [jeden], Tomek Łęcki, obecny burmistrz Murowanej Gośliny. Tomek bardziej kierował swoje działanie na obronę krzyża. My też staliśmy przy krzyżu, ciche przerwy, ale raczej mnie interesowały [inne rzeczy], bo walka o krzyż, to była taka walka półoficjalna. Tam się podpisywało petycje. Podpisywałem to, ale mnie bardziej interesowała ta walka podziemna, czynna i to chciałem robić. I to wiedziałem, że chcę dużo, jak najwięcej.

Rozpoczęło się od kolportażu?

Rozpoczęło się od kolportażu w szkole, wśród znajomych. [Było] też malowanie szkoły: znaki Polski Walczącej, „Precz z komuną”, takie hasła; ulotki. W 83 roku kończyłem szkołę, [a] to było w 82 roku. Miała być cicha przerwa. Dostałem dużo ulotek do rozrzucenia w szkole. Szkoła- taki budynek z lat 70-tych, jakby deska. Duża umywalnia i przy umywalkach dużo miejsca. Przychodziło [tam] bardzo wiele osób. Palili papierosy na dużej przerwie. No i tam rzeczywiście na dużej przerwie był tłok. Tak sobie pomyślałem, że na dużej przerwie tam najlepiej będzie rozrzucić ulotki. Poszliśmy z kolegą. Weszliśmy trzy minuty przed przerwą, żeby nikt nie zdążył tego pozbierać. Wszedłem. Tylko zobaczyłem, [że] nikogo nie ma i podniosłem sweter. Chwyciłem ulotki [i] już je miałem rozrzucić. Otwierają się drzwi od kabiny i wychodzi pułkownik od PO, emerytowany żołnierz. Od razu podbiegł do mnie. Był cholerykiem. Podbiegł do mnie: „Co tam masz, co tam masz?”. Ja opuściłem sweter, mówię: „Nic nie mam.”. „Pokazuj, co tam masz!”-i się drze. Wiem, że gdybym nie chciał mu tego pokazać, to on by się tam ze mną bił. To było bez sensu, bo tak czy tak na pewno by mi to wydarł. Wyjąłem te ulotki, pokazuję. On czyta. Tam było wezwanie, nie wiem chyba tego dnia o 12 miała być cicha przerwa. Oddał mi to: „Schowaj to!”. On wyszedł z tego pomieszczenia, ja podniosłem sweter, rozrzuciłem, i wyszedłem za nim. Klasa PO była od razu przy tych pomieszczeniach sanitarnych. On przed wejściem do klasy jeszcze się odwrócił, ja już szedłem parę metrów za nim, po rozrzuceniu tego. On mówi do mnie: „Nie chcę tego widzieć na terenie szkoły!” Ja powiedziałem, że „już za późno, już rozrzuciłem.” A już było chwilę po dzwonku, ludzie się schodzili, tak że „nie pójde tego zbierać”. Mówię „koniec, no trudno”. Na rok przed maturą sytuacja moja wyglądała nie najlepiej.

I to było jeszcze w stanie wojennym, prawda?

To było w stanie wojennym, to był 82 rok, czerwiec. Ja paliłem papierosy. Przy szkole też ludzie palili, a pułkownik Kluz (tak się nazywał) przepędzał tych ludzi. On gonił palaczy. I zszedł, żeby przepędzać palaczy, a ja stałem i tak patrzę, i mówię: „Właściwie mi to już nic nie zaszkodzi.”. Poza tym to było dla mnie dużym przeżyciem, prawda? Wiedziałem, że w tym momencie kończę ze szkołą. Będzie wojsko albo coś takiego, a do wojska nie pójde, bo byłem przeciwnikiem. Kluz podszedł do mnie, zapytał: „imię, nazwisko, klasa?”. Wszystko mu powiedziałem. No i czekałem na wezwanie dyrektora, ale wezwania nie było. Skończył się rok szkolny. Poszedłem do Kluz. Dałem mu chyba pięć róż. Powiedziałem tylko „dziękuję” i koniec. Ten pułkownik, który szkolił te osiemset osób przed pierwszym maja; on [który] te ćwiczenia prowadził; on, który był w Partii; mnie on oszczędził. Nie żyje już pan Kluz, ale jestem mu wdzięczny za to, że tak postąpił. Później była klasa maturalna i było to samo: kolportaż, rozrzucanie ulotek. Jak miałem większą ilość, to chodziłem po osiedlu i wkładałem za wycieraczki samochodów. To były takie działania, które mnie nie zadowalały. Ja chciałem robić coś więcej. To było nic. I chyba w 83 roku kolega zapytał mnie, czy nie chciałbym jeździć do Warszawy po książki. Tam bym woził z Poznania różne rzeczy, a stamtąd miałbym brać książki. Jeździłem z taką dużą torbą i przywoziłem głównie [książki] „Kręgu” (to wydawnictwo bardzo mi się podobało), też „Nowej”, mnóstwo Tygodnika Mazowsze i to co było, co przygotowali. W Warszawie wchodziłem na hasło, dostawałem adres, gdzie mam być, jechałem tam, dzwoniłem, ktoś otwierał drzwi, podawałem hasło, ktoś tam mi odpowiadał. Już nie pamiętam, jakie to były hasła. Dostawałem to, co miałem dostać, zostawiałem to, co miałem zostawić i jechałem do Poznania. Jedno takie zdarzenie miałem, kiedy właściwie otarłem się już o areszt. Przyjechałem wcześniej pociągiem. Miałem czas, bo byłem umówiony chyba na 11, ja byłem około 9 w Warszawie i na Rutkowskiego była taka knajpa, [w której] były takie wysokie stoliki. Poszedłem tam z tą torbą, żeby poczekać. Piłem kawę i w pewnym momencie przypomniałem sobie, że na Chmielnej mieszka dziewczyna, [która] z chłopakiem była nad morzem, i tam ich

poznałem. ona powiedziała: „Jak będziesz w Warszawie, to wstąp!”. Wydawało mi się, że zapamiętałem numer domu. Nie wziąłem adresu, ale było gdzieś w pół do dziesiątej, dziesiąta, „to jeszcze ją odwiedzę”. Wszedłem na podwórze, to było takie dziwne podwórze, w Poznaniu czegoś takiego nie ma, że wchodziło się przez bramę, na środku był klomb, wokół były kamienice i do każdej z kamienic osobne wejście. Na środku był taki bardzo duży teren, jakoś tak to pamiętam. Wszedłem. Jak zobaczyłem te numery, to mi się w ogóle wszystko pomieszało i mówię: „Oj, to chyba nie znajdę, bo ta Rutkowskiego taka długa.”. I już miałem właściwie wychodzić z tego podwórza. Nagle zamieszanie, biegają jacyś ludzie, tajniacy, a ja byłem sam. To była sobota, gdzieś około 9-10 i ruch [na ulicach] niewielki. Od razu podbiegają do mnie, chwytają mnie i wyprowadzają. Co się dzieje? Dlaczego? Jak to możliwe? I pytam ich: „Co się stało? Co się dzieje?”. „Nic, będziemy rozmawiać na Wilczej!” Wsadzili mnie do samochodu i ja spokojnie z kierowcą rozmawiam, i mówię: „Proszę powiedzieć, co się dzieje? Przyjechałem z Poznania do dziewczyny. Tutaj byłem już trzy kroki od jej domu, a tutaj takie coś- mówię- Jestem zmęczony, dajcie mi spokój!”. A on mówi, że tam jest melina i sprzedawali tam [alkohol](chyba od 13 wtedy można było alkohol sprzedawać). Oni po prostu likwidowali melinę. Przed wejściem do samochodu sprawdzili mnie tylko, czy nie mam wódki przy sobie, ale na torbę nawet nie spojrzeli. Nie wiem dlaczego torby nie sprawdzali. I z tą torbą w samochodzie milicyjnym pojechałem na Wilczą. Tam zobaczyłem, jak sprowadzili mnie do jakiegoś śledczego, to był taki cywil. Jak się zatrzasnęły za mną drzwi, krata, to mówię: „To już teraz, jak z tą torbą jestem tutaj, to już w ogóle koniec.”. Tak im się napatoczyłem pięknie, że będą problemy. Jeszcze miałem zielony dowód osobisty i przy orzełku długopisem narysowałem sobie koronę. I w pewnym momencie mówię: „Tę koronę przecież muszę zlikwidować, bo przecież od razu zwracam na siebie uwagę.”, ale już nie dało się tego zlikwidować. „Dowód, spiszemy”. Był bardzo kulturalny. Rozmawiałem z nim. Ja mu mówiłem o dziewczynie, opowiadałem tu całą historię. On całkiem spokojnie ze mną rozmawiał. Dowód tylko poprosił, żeby mnie spisać. Ja mu ten dowód od razu na zdjęciu dałem, żeby pierwszej strony okładekowej nie oglądał. Spisał, oddał dowód, przeprosił, no i wypuścili mnie.

Torby nie sprawdzali?

Torby nie sprawdzali. Torba stała cały czas obok mnie, a oni jakby nie zwrócili zupełnie uwagi na tę torbę. To był taki moment, kiedy już mogłem wpaść. Później to jeżdżenie jakoś mnie satysfakcjonowało, ale to jeszcze nie było to. Ja chciałem pracować w drukarni i mieliśmy jakieś pierwsze próby drukowania, ale to były [próby] takie nieudolne. Chciałem pracować w drukarni, chciałem robić coś poważniejszego. Mój kolega wiedział o tym i w pewnym momencie pyta mnie, czy nie chciałbym pracować w podziemnym radiu. No więc ja tak jakbym na to czekał. „Oczywiście tak, bez problemu.” I rozpocząłem po maturze. W 83 roku zdałem maturę, nie dostałem się na studia. Nie zdałem egzaminu z języka rosyjskiego, a innych języków w szkole podstawowej ani średniej nie było. Poszedłem do pracy. Pracowałem w kombinacie budowlanym Poznań- Północ. Od czasu do czasu jeździłem do Warszawy. Oni mnie wysyłali na delegacje. Pracowałem w zaopatrzeniu. Pamiętam, że jakoś te wyjazdy wykorzystywałem, żeby coś od razu przywieźć, żeby tak nadaremno nie jeździć. Tak sobie tam funkcjonowałem przez trzy miesiące. Za bardzo mnie wykorzystywali. Później pracowałem przez cztery miesiące na czas określony w bibliotece pedagogicznej. To był 84 rok, wiosna, chyba do czerwca. I w czerwcu właśnie Stachu, mój przyjaciel, zapytał mnie, czy nie zechciałbym pracować w radiu. Powiedziałem: „oczywiście, że tak”. Szybko doszło do spotkania z Jadwigą Sulikowską, szefową radia. Ona nie miała wtedy ludzi w radiu. Szukała, montowała grupę. Krótko po pierwszym spotkaniu [znów] się spotkaliśmy. Nie wiem, to było drugie albo trzecie spotkanie z Jagą. Ono odbyło się

w parku Gagarina. Tam był [pewien] człowiek. Nie wiem kto to był, Jaga też nie wie, ale to był świadek. To był taki typowy opozycjonista. Ja go wspominam jako takiego człowieka: mężczyzna, ciemne kręcone włosy, broda, okulary. I on, co zapamiętałem, w ogóle się nie odzywał. On chyba nawet „cześć” nie powiedział. Jaga tylko powiedziała, że będę składał przysięgę, że ona będzie czytała rotę przysięgi i ja będę powtarzał, a to jest świadek. Sytuacja była tak poważna, że ja byłem niesamowicie przejęty, ale bardzo mi się to podobało. No i przysięgaliśmy. Kończyło się to odniesieniem do Boga: „Tak mi dopomóż Bóg.”. Była mowa o niepodległości Polski, o walce z komunizmem. To była taka mocna przysięga, wszystko, co najważniejsze. Niektóre zapisy w tej rocznicy odnoszą się do życia codziennego. Na przykład przysięgaliśmy, że nie będziemy brać udziału w imprezach towarzyskich, na których jest alkohol. Nie będziemy pić alkoholu, nie będziemy brać udziału w imprezach towarzyskich, nie będziemy działać dla innych grup podziemnych. Wtedy skończyłem z wyjazdami do Warszawy. Tam były takie duże obostrzenia, tam było tylko radio i koniec.

I to się nazywało Radio...?

To się nazywało Radio Solidarność Region Wielkopolska. Radio nadawało na początku na falach UKF. Działalność rozpoczęło bodajże od kwietnia 82. Inicjatorem był Andrzej Piątek, plastyk z Poznania. Nadajnik wykonali bracia Grzegorz i Piotr Cierniochowie i oni właściwie rozpoczęli. Bez nich to radio właściwie by nie działało w Poznaniu. I oni, Cierniochowie, zbudowali nadajnik na fale fonii telewizyjnej. Pierwszy nadajnik działał na falach UKF, normalnie w radio, tak że trzeba było ulotki rozrzucić. Mnie wtedy nie było [w radiu], ale jakieś ulotki z informacją, kiedy będzie audycja do mnie docierały. To było niebezpieczne. Ale ten następny nadajnik, który zbudowano, i który działał chyba od lipca albo czerwca 82 roku, on nadawał na fonii telewizyjnej. Można było w każdej chwili podłączyć się pod antenę telewizyjną i antenę telewizyjną z odbiorczej przestawić na nadawczą. To były naprawdę komfortowe warunki do pracy i też nie trzeba było żadnych ulotek, bo wybierało się program o dużej oglądalności, na przykład mecz. Ludzie sobie oglądali mecz, a słuchali sobie Radia Solidarność, albo dziennik telewizyjny, który miał przez cały czas największą oglądalność. Dziennik się rozpoczynał, był sygnał dziennika, skończył się sygnał dziennika, wchodził sygnał Radia Solidarność Region Wielkopolska i rozpoczynała się audycja. Oni mówili o Jaruzelskim, co Jaruzelski, gdzie był, a tutaj: „Tu Radio Solidarność”- my nadawaliśmy audycję. Właśnie tak to się zaczynało: „Tu Radio Solidarność Region Wielkopolska”. Pamiętam tą czołówkę była złożona z piosenki Jandy „Janek Wiśniewski padł” i na tej muzyczce, czy na tym podkładzie Jaga mówiła: „Tu Radio Solidarność.” Bardzo ładnie to wszystko było skomponowane. Była przysięga i rozpoczęło się montowanie grupy. Tak się złożyło, że ja się tym zająłem. Wśród znajomych Jagi wszyscy przeszli przez radio i trzeba było świeżych ludzi. Ja najpierw ściągnąłem Przema Dębowskiego, Przemko polecił Jarka Urbańskiego. Zochę Sokolnicką spotkałem gdzieś na jakimś imieninach kolegi czy koleżanki; kilka osób było, tak jak się odwiedza kogoś. To nawet nie były imieniny, to był jakiś [zwykły] dzień i się zgadaliśmy. Zocha mówi, że jest z Gdańska, ja mówię: „A co tam w Gdańsku? A czy masz coś z Gdańska może?”. Ona mnie wzięła obok do pokoju, pokazała walizkę pełną bibuły, tak że rozpoczęła się też współpraca z Gdańskiem, która zresztą trwała krótko, bo za którymś razem zaproponowałem, aby Zocha- Zofia Sokolnicka- pracowała z nami. Ona od razu się zgodziła i była tą ostatnią osobą.

To w sumie was było pięć osób?

Pięć osób.

Łącznie z panią Jadwigą?

Tak. To była Jaga- Jadwiga Sulikowska - przerwała studia chyba po wprowadzeniu stanu wojennego, studiowała na Akademii Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Zocha Sokolnicka wtedy, w tym 84 roku, studiowała socjologię. Jarek Urbański studiował socjologię. Przemco Dębowski był po maturze i nic nie studiował, był jakoś tak przed odrabianiem wojska, czy coś takiego. I byłem ja, który był po maturze i chciał się dostać na socjologię. Tak że taki był skład. Rozpoczęliśmy dosyć ostro. Najpierw rozpoczęliśmy od drukowania. To mi się bardzo podobało. Jaga miała sito i drukowaliśmy ulotki na 31 sierpnia- apel Tymczasowego Zarządu Regionu w Poznaniu, w rocznicę Sierpnia. To był apel wzywający do udziału w manifestacji i demonstracji. Najpierw była Msza u dominikanów (tak u nas się rozpoczynało najczęściej) i potem przejście, próba przejścia pod pomnik Czerwca. Bardzo ładne ulotki wydrukowaliśmy. Równolegle też pracowaliśmy nad pierwszą audycją. To była audycja właśnie na rocznicę Sierpnia. Ja nawet byłem spikerem. W sposób jakby naturalny byłem zastępcą Jagi, bo Jaga była pierwsza, ja byłem drugi. I pierwszą audycję na 31 sierpnia czytałem razem z Jagą. Ale później się okazało, że Przemco Dębowski ma znacznie lepszy głos. On udzielał się w teatrze amatorskim przy Eskulapie, przy klubie studenckim w Poznaniu. Przemco mnie zastąpił, co było z korzyścią dla tej audycji. Później były następne audycje. Ja nie pamiętam, jaka była częstotliwość. Pamiętam takie charakterystyczne; pamiętam pierwszą, pamiętam audycję po zamordowaniu księdza Popiełuszki. Tę audycję pamiętam dlatego, bo trwała 18 minut, była bardzo długa. Pamiętam ją też dlatego, że słyszalna była we Wronkach, 50 km od Poznania. To jest niesamowite.

Nadawaliście codziennie, raz na tydzień? Jak to było?

Nadawaliśmy przede wszystkim w związku z rocznicami. Przemco Dębowski mówi, że nadawaliśmy na 17 września audycję w związku z napaścią [Sowietów na Polskę]. Też mi się wydaje, [że] nadawaliśmy, ale nie pamiętam. Pamiętam tylko tą związaną z zabójstwem księdza Popiełuszki. Była długa, [a] konstruktorzy nadajników określili czas bezpiecznej emisji na mniej więcej 12 minut, a potem mogli nas namierzyć pelengatorem. Później dopiero dowiedziałem się od pracownika z IPN-u, że pelengatory ściągnęli do Poznania jakieś naprawdę bardzo dobre [pelengatory], żeby namierzyć radio. Tak że te 18 minut, to było niebezpieczne, ale generalnie nadawanie było bardzo bezpieczne. Załóżmy, że nadaję z tego mieszkania. Wtedy nie było anten zbiorczych, jeśli były, to bardzo niewiele. Każde mieszkanie miało swoją antenę nadawczą, to był las anten. I prawie w każdym mieszkaniu był telewizor. Pod nadajnik czy do nadajnika włączało się przejście, żeby fala szła w drugą stronę, do tego antenę, która jest na dachu, no i uruchamiało się nadajnik, uruchamiało się magnetofon i siedziało się, rozmawiało, a audycja sobie szła. Nie biegało się po dachach. Tak że było to bardzo bezpieczne. My byśmy na pewno nadali znacznie więcej audycji, gdybyśmy mieli więcej mieszkań. Mieliśmy problem z mieszkaniami. Wśród tych zasad bezpieczeństwa, które sobie ustaliliśmy, była jedna, która mówiła o tym, że z danego mieszkania możemy nadawać tylko jeden raz. My to łamaliśmy, łamaliśmy notorycznie, i nie wiem, czy nie dlatego łatwiej było mnie namierzyć, bo z mieszkania, z którego wyszedłem [przed aresztowaniem], nadawałem po raz trzeci. Łamaliśmy, musieliśmy, bo ludzie się bali, a poza tym my się baliśmy; my musieliśmy uderzyć do kogoś pewnego i do kogoś, kto nie gada. Radia szukali esbecy od razu, od kwietnia 82 roku. W Poznaniu gazetki wychodziły bardzo nieregularnie. Nie było Tygodnika Mazowsze, który co tydzień, regularnie się ukazywał, albo PWA czy Wiadomości, nie było czegoś takiego. Wychodził Obserwator Wielkopolski. To był, jak to się mówiło, nieregularny tygodnik, ale on był bardzo nieregularny. Poza tym wychodził Ceglorz, wychodziła Solidarność. Naprawdę niewiele tego było. W późniejszym czasie Solidarność Walcząca wydawała dwutygodnik

i oni robili to regularnie. I to Radio Solidarność najbardziej bolało ubeków, bo rzeczywiście robiliśmy sobie, co chcieliśmy. Mieliśmy do dyspozycji taksówkę, chyba Renault 16 albo 12. Był kiedyś, dawno, dawno temu, ja byłem dzieckiem, taki serial „Paryska taksówka”. Tam właśnie pamiętam była taka renówka. Kierowca wiedział, o której ma przyjechać po mnie (czy po kogo innego), wychodziłem, taksówka czekała, wsiadałem, on włączał taksometr, „słucham, dokąd jedziemy?”, ja mówiłem: „osiedle Oświecenia”, podjeżdżaliśmy na osiedle Oświecenia, on pytał, czy poczekać, czy może już jechać, „proszę poczekać 20 minut, mniej więcej za 20 minut będę”, taksometr włączony, on czekał, ja nadałem audycję, wszystko zwinąłem, wsiadałem do samochodu, „a teraz pojedziemy na Strzelecką, proszę”, jechaliśmy.

Temu człowiekowi się płaciło, czy to był wasz człowiek?

Z tego co Jaga mówiła, tam był taki układ: Jaga była plastyczką, w międzyczasie zarabiała pieniądze malując obrazy [lub] wykonując jakieś prace plastyczne. Uzbierała jakąś znaczną kwotę. Roman Wieczorek, tak się nazywał taksówkarz, o czym dowiedziałem się później, dopiero po wyjściu z więzienia, chciał być taksówkarzem, [ale] nie miał pieniędzy. Jaga pożyczyła mu pieniądze, [ale] powiedziała: „Będziesz dla nas pracował i odpracujesz to dla nas!” I on jeździł. I byliśmy praktycznie nie do złapania. Taksówka z włączonym taksometrem. Były sytuacje niesamowite. On to zresztą do tej pory pamięta. Jedną zapamiętałem bardzo dokładnie. Nadawałem przy Wybickiego na Wildzie i mieliśmy jechać nadawać gdzieś na Rataje, już nie wiem gdzie, na jakie osiedle. W każdym razie ja nadałem audycję, szybko wszystko zwinąłem, zbiegłem na dół, wsiadam do samochodu. Ruszamy (kiedyś to Dzierżyńskiego to było, obecnie 28 czerwca) w stronę Hetmańskiej, a naprzeciw jedzie kawalkada bud, zomowcy, wszystko na sygnalach. Jechali robić jakąś obławę w tym rejonie. Byli niedaleko, tylko że my jechaliśmy już w przeciwną stronę. Namierzyli sygnał, mieli informację, że tam jest radio i jechali zrobić jakąś obławę, ale my już tą taksówką się przemieszczaliśmy i mijaliśmy się z nimi. Z taksówkarzem zupełnie nie rozmawiałem na temat radia. Oficjalnie on nie wiedział, co ja robię, on jest taksówkarzem (żeby też samochodu nie zabrali). On czekał przy ulicy Wybickiego, wsiedliśmy, on widział te budy, ja widziałem te budy, wiedzieliśmy o co chodzi, ale my sobie spokojnie w ogóle zdania nie zamieniliśmy na ten temat, i pojechaliśmy gdzie indziej. I trzecia [audycja], którą zapamiętałem, to była ta, z którą mnie zamknęli, czy po emisji której mnie zamknęli. Było tak, że Przemko Dębowski odpracowywał wojsko na wartowni, przy Niepodległości naprzeciw hotelu Polonez, kiedyś to była ulica Stalingradzka,. Tam była jednostka wojskowa i Przemko tam odrabiał wojsko. Pracował 24 godziny, 48 godzin miał wolne. Siedział na wartowni, tak że świetnie mu się udało z tym wojskiem, ale on jakoś nie miał czasu, żeby nadawać. Coś było, że Jarek też czymś się zajmował, Zocha też, Jaga też nie mogła i ja mówię do Jagi: „Wiesz, musimy jeszcze kogoś wciągnąć.”. Zasada była taka, że nadajemy w dwie osoby, chodziło przede wszystkim o to, że nadawaniu towarzyszył niesamowity stres. Pracowałem wtedy jako kierowca dyrektora w Centrali Produktów Naftowych (CPN). Wozilem dyrektora fiatem. Przedsiębiorstwo strategiczne, a tutaj mieli takiego człowieka. Do 15-ej pracowałem, a później szedłem do mieszkania. W pewnym momencie udało mi się załatwić mieszkanie przy Nowowiejskiego i tam mieliśmy mieć drukarnię. Już sita mieliśmy, już pierwsze próby były wykonane. Chodziłem tam po pracy i tam się spotykaliśmy. Nagrywaliśmy chyba u Jagi. Pamiętam, że nagrywaliśmy też gdzieś na ulicy Palacza, taki wysoki budynek, wieżowiec, szczegółów już sobie nie przypomnę. W każdym razie to mieszkanie miało służyć jako drukarnia, bo my chcieliśmy oprócz radia uruchomić jeszcze na początek dwutygodnik, a później tygodnik. Chcieliśmy, żeby Poznań miał takie regularnie ukazujące się pismo z wydarzeniami. To nam nie wyszło. To była piwnica przy

Nowowiejskiego, w takiej dużej kamienicy. To był właściwie dom jednorodzinny, ale wielorodzinny z taką małą wewnętrzną klatką schodową. Pojechałem do Warszawy na pogrzeb ks. Popiełuszki. Pamiętam, [że jak] przyjechałem [z Warszawy, to] Przemko Dębowski już stał na przystanku. Nie wiem jak długo stał, czy wiedział, jakim pociągiem ja wrócę? Stał i powiedział, że ten właściciel mieszkania powiedział, że daje mi 48 godzin na opuszczenie mieszkania. Po prostu wszedł tam. Sita i całe te urządzenia, te ramy, to wszystko miałem schowane w tapczanie, ale jakieś farby stały na wierzchu, materiały mogły leżeć. Wszedł, zobaczył i w sumie też w porządku się zachował, że dał czas na opuszczenie [mieszkania], a nie zadzwonił [na milicję]. Ja występowałem w ogóle jako osoba z Gdańska. Powiedziałem, że chcę to mieszkanie wynająć. Jestem z Gdańska, z rodzicami się troszeczkę pokłóciłem. Przyjechałem do Poznania. Tutaj mam pracę. Jakaś tam historię mu wymyśliłem i on to mieszkanie mi wynajął. Jak z tego mieszkania musieliśmy zrezygnować, a nie mieliśmy innego, [to] właściwie te plany z drukarnią musieliśmy odłożyć. Pogrzeb był 3 listopada 84 roku, z tego co pamiętam. Kontynuowaliśmy pracę z radiem. Po tej audycji, którą poświęciliśmy w całości ks. Popiełuszce, przygotowaliśmy audycję rocznicową na 28 listopada,. To było gdzieś około 8, może 5 listopada. Następną nadawaliśmy dwudziestego, rozpoczęliśmy od 26 albo 27 listopada. Ta audycja tematyką nawiązywała do rocznicy Powstania Listopadowego. Teksty były dobrane tendencyjnie. Był Mochnecki, który mówił: „Rząd mamy dzisiaj sprzedajny.”. To rzeczywiście komunistów mogło ruszać. Tekst czytał Przemko Dębowski, bardzo dobry głos miał. Wykorzystaliśmy piosenkę Szczepanika. Audycja bardzo sympatyczna. Zresztą mam tę audycję, bo jak po aresztowaniu esbecy zabrali mi cały sprzęt z kasetą, wszystko, tak w 90 roku dostałem pisemną, listowną informację, że mam się zgłosić na Kochanowskiego po odbiór swoich rzeczy. Poszedłem na Kochanowskiego i dostałem nadajnik. Zwrócili wszystko i wszystko mam oryginalne do tej pory: autentyczną kasetę, z którą mnie zatrzymali, magnetofon, nadajnik, zasilacz, antenę- wszystko jest. Nie wiem dlaczego tego nie zniszczyli. Chyba coś przeoczyli, bo z tego co wiem, w IPN nie ma żadnych materiałów operacyjnych na temat radia. Są tylko materiały z mojej sprawy sądowej i to jest wszystko, co zostało.

Czyli doszliśmy do momentu zatrzymania?

Doszliśmy do momentu nadawania ostatniej audycji. Rozpoczęliśmy, pamiętam we wtorek. To było takie dziwne mieszkanie. Jaga mówi, że jest mieszkanie, pamiętam dokładnie przy Ułańskiej w Poznaniu, na drugim piętrze. Mówi: „Ale właściciele nie będzie w domu, pod wycieraczką będą leżały klucze, te klucze weźmiesz, wejdiesz, po prawej stronie jest pokój, w tym pokoju jest telewizor, zrobisz wszystko, zamkniesz mieszkanie, włożysz klucze pod wycieraczkę.” Ja mówię: „Właściwie to sprawa prosta.” „Ale jest jedno zastrzeżenie, że jeśli ciebie zatrzymają w mieszkaniu, to właściciele nic nie wiedzą i to jest włamanie.” Jeśli by mnie zatrzymali w tym mieszkaniu ubecy, to właściciele mówią: „My tylko zostawiliśmy klucze pod wycieraczką, bo my zostawiamy dla kogoś, (bo się wtedy tak robiło, że się zostawiało klucze pod wycieraczką), a ktoś wziął, wszedł, my nic nie wiemy.” Tak że jeszcze włamanie na dodatek bym miał. Ale tak jak mówiłem: był problem z mieszkaniami, nie było wyjścia i wziąłem to mieszkanie. Byłem tam sam w tym mieszkaniu i jakoś fatalnie się czułem. W ogóle od tej niedzieli (to był wtorek) byłem cały czas spięty, jakiś taki zdenerwowany, coś mi nie pasowało. Nie mogłem się pozbierać. I we wtorek nadałem tę audycję i to była jedyna audycja we wtorek. Roman, kierowca, taksówkarz odwiózł mnie do domu i ja nie wytrzymałem, mówię: „Coś jest nie tak!”. A on od razu: „Wiesz co, ja też czuję. Coś się dzieje.”. Jak było spotkanie w niedzielę, to mówiliśmy o wyroku, jaki nas czeka ewentualnie, jak nas zatrzymają. W niedzielę powiedziałem im, tym ludziom, tym kolegom i koleżankom z grupy, że w przyszłym tygodniu coś się wydarzy. To jest dosyć ciekawe- w niedzielę

wieczorem Janusz Pałubicki, szef podziemnej „Solidarności” w Poznaniu w wywiadzie dla Wolnej Europy mówił, że radio w Poznaniu jest obecnie najprężniej działającą, niezależną rozgłośnią w Polsce. Chwalił nas niesamowicie, bo rzeczywiście radio działało wtedy bardzo dobrze, tak mi się przynajmniej wydaje. Ale wróć do tej niedzieli, kiedy powiedziałem, że coś się wydarzy. Nie wiem dlaczego tak powiedziałem, ale od tego czasu czułem się podenerwowany i nadawałem audycję na Ułańskiej. Roman zawiózł mnie do domu ze sprzętem i właśnie ja mówiłem mu, że coś czuję, że coś jest nie tak, on to samo. Tak że obydwaj spięci jechaliśmy. Umówiliśmy się następnego dnia w mieszkaniu Przema, z którego tą ostatnią audycję nadałem. I co było ciekawe, na osiedlu pod Lipami, wtedy Wielkiego Października, przy ulicy Słowiańskiej jest taki Supersam, [a przy nim] jest jeden parking [i] jest drugi parking. Ten drugi jest mniejszy, taki zadrzewiony, ciemno, takie nieprzyjemne miejsce, a ten [pierwszy] jest bardzo duży, ładny, wygodny. I na tym parkingu umawiałem się już dwa razy z kierowcą, a teraz mu powiedziałem: „Wiesz co, umówmy się teraz nie na tym parkingu, a na tym parkingu, z drugiej strony.”. „Okej, dobra jest, to z drugiej strony będę czekał, świetnie.” To była środa. Cały dzień byłem potwornie spięty, zdenerwowany. Byłem w pracy i tam pamiętam pokazywali w telewizji jakiś mecz, chyba Widzew Łódź- Dynamo Mińsk, czy coś takiego. Ja próbowałem to oglądać, ale mówię „nie”. I w końcu wyszedłem. Wyszedłem trochę za wcześnie do tego mieszkania, ale to było blok obok. Ja mieszkałem w siódemce, a w szóstce było to mieszkanie Przema, bo to było mieszkanie, w którym mieszkał Przemek Dębowski, też członek naszej grupy, ze swoimi rodzicami. I poszedłem do tego mieszkania, tam wszystko zamontowałem, rodzice wyszli z pokoju, oni niby nic nie wiedzieli. Zostałem z Przemem. I tego dnia miałem też przyjmować do grupy kolejną osobę, taką dziewczynę. I z tą dziewczyną też się umówiłem przy tym Samie, ale na tym dużym parkingu, gdzieś tam w okolicach tego dużego parkingu. Chciałem ją stąd zabrać, byśmy poszli do samochodu i byśmy pojechali nadawać gdzie indziej, bo mieliśmy już mieszkanie na Ratajach. W związku z tym, że miałem przyjmować tę dziewczynę, miałem ze sobą rotę przysięgi, bo ona przed [nadawaniem] musiała złożyć przysięgę. Miałem też jakieś notesy, [które] prowadziłem. Wiadomo, że trzeba było prowadzić jakieś rachunki w związku z kolportażem, tak że miałem jakieś zapiski. I w trakcie trwania audycji wszystko wyciągam z kieszeni, wszystko przeglądam, papierki odkładam na stół, patrzę rota przysięgi i odkładam, notes jakiś z adresami, z czymś tam odkładam. I mówię: „Wiesz co, Przemko, w razie czego, to zajmij się tym!”. Rotę, którą powinienem mieć ze sobą! Mówię do Przema: „W razie czego zajmij się tym!”. Audycja się skończyła, spakowałem wszystko, nie wiem, chyba w ciągu 20 sekund, bardzo szybko. Byłem gotowy do wyjścia i żegnam się z Przemem, spoglądamy sobie w oczy i mówię do Przema: „Najprawdopodobniej tak szybko się nie zobaczymy.”. Wychodzę z klatki schodowej, otwieram drzwi, plecy, skóra: „Służba Bezpieczeństwa!”. I w tym momencie to napięcie ze mnie zeszło. Taki spokój osiągnąłem. Nie wiem zupełnie, co się działo. Ja po prostu wiedziałem, że to musi się stać, że to musi się zdarzyć. Być może dlatego później mogłem działać sobie spokojnie, mogłem myśleć, co oni robią. Ja nie byłem zdenerwowany. Oni wyzywali mnie od najgorszego. Wulgaryzmów to tyle, ile się wtedy nasłuchiwałem pod swoim adresem, to na pewno nigdy w życiu już nie usłyszę, tak przynajmniej myślę. W każdym razie osiągnąłem spokój. Siedziałem sobie w samochodzie, oni biegali. Pojawiło się ich bardzo wielu, zeszli się z osiedla. Pojawiły się też samochody. Ja siedziałem w samochodzie, miałem różaniec na palcu, odmawiałem sobie różaniec. Kasetę z audycją miałem za paskiem. Ach, co jeszcze świadczy o tym spokoju, bo to jest też dla mnie dziwne. Oni bazę zrobili sobie na tym dużym parkingu, na którym zawsze się umawiałem z kierowcą. On stał po drugiej stronie tego Supersamu i nie wiedział, co się dzieje. Dopiero później, po wyjściu z więzienia on

mówił mi: „Ja widziałem biegania wokół bloku, widziałem zamieszanie, widziałem, że coś jest nie tak i jak nie przyszedłeś, to już przypuszczałem, że ciebie mają.”. Ale przy tym dużym parkingu umówiłem się, tak jak wspominałem z tą dziewczyną. Prowadzili mnie na duży parking i ona nie wiedziała, kto jest w radio, bo jej nie mówiłem, bo ta informacja jej do niczego nie była potrzebna. Idzie trzech facetów: jeden z tej strony, drugi z tej strony, a ona idzie naprzeciw mnie. I w pewnym momencie się przeraziłem, bo pomyślałem sobie, że ona może pomyśleć, że wszyscy jesteśmy z radia. Ale na szczęście oni trzymali mnie za rękę, ja w pewnym momencie wychyliłem się dosyć mocno, ona zobaczyła, że jestem trzymany. Tylko spojrzeliśmy sobie w oczy, minęliśmy się i ona była pierwszą osobą, która wiedziała, że jestem aresztowany.

A skąd oni wiedzieli, że Pan to Pan?

Ja wyszedłem z nadajnikiem. Oni mieli pelengatory. Ja mieszkałem w siódemce w bloku H, a w D mieszkał człowiek, który do nich dzwonił. Jak tylko pojawił się sygnał w telewizji, to dzwonił do nich. Jan Ławniczak, tak się nazywał. I nagrywał tę audycję. Jest w aktach IPN-u taśma, gdzie słychać że za blisko trzymał mikrofon telewizora i były sprzężenia (tak bardzo chciał nagrać tę audycję) i ta jakość nagrania jest nie najlepsza. Ale słychać „Balladę o Janku Wiśniewskim”, słychać „Tu Radio Solidarność Region Wielkopolska”, przebija troszeczkę informacja, że komuniści w NRD i pojawia się też głos tego faceta: „słuchawki, słuchawki, gdzie są słuchawki?”. A żona jego mówi: „Ale my nie mamy słuchawek!”. On mówi: „Ty nagrywaj, a ja będę dzwonił!”. I wszystko jest nagrane na kasecie. Tak że on dzwonił do ubecji i ich informował. Dzień wcześniej rozpoczęliśmy emisję tej audycji. Nigdy nie było tak, że była jedna emisja jakiejś audycji. Nadawaliśmy mniej więcej 8-9 emisji. Staraliśmy się objąć zasięgiem cały Poznań, żeby wszyscy mogli to usłyszeć. Tak że oni przypuszczali, że ta audycja będzie gdzieś w okolicach dziennika telewizyjnego. Przypuszczam, że byli w pogotowiu, może pelengator jeździł po Poznaniu, ale przysłużył im się też ten człowiek. On zadzwonił, mieli 12 minut na dojechanie. To był akurat zbieg okoliczności. Te bloki (szóstka i siódemka) są na pewnym odcinku położone równolegle, później siódemka zakręca, ale na początku są położone równolegle w stosunku do siebie. Ja wychodziłem z D, z szóstki, a on mieszkał w D, w siódemce. Jak dzwonił z D, z siódemki, z tego swojego mieszkania, to podał adres. Oni obstawili [bloki]. I przypuszczam, że on stał tyłem do wyjścia, patrzył na siódemkę, balkony były z tej strony. On może myślał, że ktoś będzie po dachu chodził, czy z balkonu, bo oni nie wiedzieli, jaką technologię my mamy, oni nie wiedzieli, jak my nadajemy. I on stał tyłem w D, w szóstce, obserwował w D, w siódemce, naprzeciw blok, w tym samym miejscu, no i ja wtedy wyszedłem. Jak on już się wylegitymował, pokazał tę swoją legitymację Służby Bezpieczeństwa, [to] chwilę po tym doszło jeszcze dwóch. Ja byłem za bardzo zmęczony, [żeby] uciekać. Ja byłem naprawdę bardzo mocno zmęczony. W pracy jak nie miałem jazdy, to siadałem przy kaloryferze i spałem. Byłem po prostu wykończony. Aresztowali mnie około za piętnaście ósma wieczorem. Najpierw krzyczeli, wyzywali. Jak już wspominałem byłem dziwnie spokojny, tak że w miarę trzeźwo mogłem myśleć. Później tak sobie myślałem, że jak przyjadą z psem, to mogą dojść do mieszkania. I wtedy ubek otworzył drzwi i znowu na mnie wrzeszczał, wyzywał od najgorszego. Odgrażał się, że co to on ze mną zrobi na Kochanowskiego i ja wtedy powiedziałem, że „ja im w takim razie wszystko pokażę”. Oni od razu wzięli sznurowadła, pasek od spodni i prowadzili mnie w takiej dużej grupie. Szedłem otoczony nimi do bloku szóstego do wejścia D. Wszedłem do klatki schodowej i wszedłem na ostatnie piętro. To jest blok pięciokondygnacyjny, tak że wyżej nie można było. I na ostatnim piętrze, powiedziałem, że to nie była ta klatka schodowa, że tutaj inaczej wyglądało, na co porucznik Roman Romański powiedział, że to było na pewno to wejście. I w tym momencie on zmrużył

oczy. On się zorientował, że zostali wprowadzeni w błąd, wyprowadzeni w pole. Sprowadził mnie na dół. Ubecy, było ich może z dziewięciu, dziesięciu, stali w takiej dosyć dużej grupie przed klatką schodową, a Romański mnie w tym czasie bił. Przy zgaszonym świetle on mnie bił. Ja mówiłem mu, że to, co robi jest bezprawne, że on jest od tego, żeby pilnować porządku, a on łamie prawo. I on mnie dusił szalikiem, a ja mu takie rzeczy opowiadałem. Dziwnie to musiało wyglądać. To był listopad, ja byłem ciepło ubrany, w kurtce, tak że specjalnie tego nie odczułem. Zaprowadzili mnie do samochodu, zawieźli na Kochanowskiego. Tam przesłuchiwał mnie najpierw bez żadnego formularza przesłuchań, bez tego papieru, bez zapisywania. Jakiś ubek pytał, żebym mu wszystko powiedział. Ja miałem taką wersję, że miałem coś przegrać. Miałem kasetę w magnetofonie, znaczy przy nadajniku, kasetę Dire Straits, [a] za paskiem od spodni miałem kasetę z audycją, tak że kasety z audycją oni jeszcze nie mieli. I mówię, że coś miałem przegrać, jakąś płytę- coś kombinowałem. Mówię, że schodziłem później z tego czwartego piętra, patrzę, a tam stoi jakaś torba, jakieś kabelki i sobie to po prostu wziąłem. On na to powiedział, że w takim razie ukradłem to. Ja przyznałem rację, że w zasadzie na to wygląda. On z kolei powiedział, że to wcale tak nie było, że ja nic nie ukradłem, że on dokładnie wie, jak to było, ale ja mam mu powiedzieć. No więc ja trzymałem się tej wersji i zaprowadzili mnie do innego pokoju. Nie wiem czy ten ubek miał się czymś zająć, nie wiem jak to dokładnie było. W każdym razie inny ubek też pytał, jak to było. Mniej więcej tę samą wersję mu opowiedziałem, może była już ulepszona, bo już trzeci czy czwarty raz to mówiłem, tak że ona wyglądała nawet prawdopodobnie. To była taka wersja, że można było w nią uwierzyć, ale oni nie wierzyli. I ten, który mnie pilnował w pewnym momencie zrobił sobie herbatę i stanął przede mną z wrzątkiem, mniej więcej pół metra przed mną. Ja siedziałem na krześle pod ścianą. Podeszedł do mnie i mówi: „Masz 15 sekund na powiedzenie prawdy jak to było, jeśli nie, będziesz miał tę herbatę na ryju! I co? I powiem, że zaprowadziliśmy cię do aresztu, poprosiłeś o gorącą kawę do picia i dokonałeś samookaleczenia. Tu takich jest mnóstwo. Chcą być w szpitalu. Masz 15 sekund!”. No i w tym momencie rzeczywiście prawie mu uwierzyłem, że to może zrobić, bo jego wersja też była bardzo prawdopodobna. I tylko tak patrzyłem i mówię, że „co powiedziałem jest prawdą; ja nic innego nie mogę powiedzieć, bo nie będę wymyślał.”. No i czekałem. Cisza. Ten patrzy na zegarek, stoi z tą szklanką. Odszedł, więc mi ulżyło. Później machał nożem przede oczami, wstał, zdjął sweter. Miał t-shirt, czy coś takiego opięte na mięśniach. Był dobrze zbudowany, to muszę przyznać. W ogóle atmosfera była niesamowita: puścił sobie jakieś radzieckie piosenki i kazał mi siedzieć w przysiadzie pod ścianą, bez krzesła. W ten sposób mnie tam ćwiczył. Ale przyszedł jakiś inny ubek, mówi: „na krzesło!”, tak że usiadłem na krzesło. Ten drugi mnie jakoś podratował. I później ten w tej koszulce znowu został ze mną sam i nadal pytał i nalegał, żebym mu powiedział jak to było. Ja tam nie chciałem z nim w ogóle rozmawiać. On mówi: „Wyjdź na środek pokoju!”. No i wyszedłem na środek pokoju. Nie doszedłem chyba do środka pokoju i poleciałem sobie gdzieś tam w powietrzu. Jakoś mną rzucił. Ale był dobrze wyćwiczony, to muszę przyznać. Ale też się tego nie spodziewałem. Później: „Wyjdź znowu!”. Wyszedłem znowu, a za trzecim razem tak sobie pomyślałem, że to już wystarczy i jak mnie chwycił, to ja napiąłem mięśnie. I on był na tyle bezczelny, że on do mnie powiedział: „Rozluźnij się!”, żeby lepiej mu się mną rzucało. Więc ja oczywiście się nie rozluźniłem, on się ze mną szarpał i w tym momencie wypadła zza paska mi kaseeta. No i już jak kasetę zobaczył, to od razu zawołał innych. Kasetę wzięli. Od razu zaprowadzili mnie do osobnego pomieszczenia. „Rozbieraj się, wszystko, dokładnie, do naga, przysiad!”- według procedur. Mieli kasetę, mieli nadajnik, mieli zasilacz, właściwie już sprzęt był skompletowany. Około 10 wieczorem zawieźli mnie znowu na parking w innym samochodzie. Jechał jakiś taki w moro, nie wiem czy to zomowiec, czy jakiś

milicjant, z psem; opiekun z psem. Przyszli do mnie, wzięli but i poszli do klatki schodowej. Ja znowu się modłę: „Boże, żeby tylko nie doszli do tego mieszkania.”. Przyszli wściekli, tak że wszystko było bardzo dobrze. Już wiedziałem, że się udało. Pies poszedł ostatnim śladem. Poszedł na ostatnie piętro i w tym momencie nie mogli znaleźć mieszkania, z którego wyszedłem. Przesłuchiwali chyba wszystkich z tej klatki schodowej. Pokazywali moje zdjęcie, chyba nikt mnie nie rozpoznawał. W każdym razie nie doszli do mieszkania, nie doszli do ludzi. To się udało- oszczędzić tych ludzi. Około wpół do pierwszej przyjechaliśmy do komendy. Jeszcze ten milicjant w moro szczał na mnie tego psa. „Bierz go, bierz go!” Widziałem z bliska jego zęby. Próbowali także w ten sposób mnie straszyć. Jakieś takie dziwne, prymitywne metody mieli. I około wpół do pierwszej zaprowadzili mnie do pokoju, gdzie były, pamiętam, fotele ze skóry, zapach papierosów. Jak w dyrektorskich gabinetach w komunistycznych firmach: mnóstwo papierosów, jakaś palma, skóra, telewizor „Rubin”. I przesłuchiwał mnie szef wydziału śledczego Służby Bezpieczeństwa w Poznaniu, pułkownik Jeleń. Jak jemu było na imię nie pamiętam. Pułkownik Jeleń i jeszcze drugi jakiś, nie wiem czy pułkownik, w każdym razie wysoki rangą ubek, który się w ogóle nie odzywał. Jeleń zapytał mnie najpierw o datę i miejsce urodzenia, o rodziców, o szkoły, gdzie pracowałem - takie tam podstawowe dane. Później powiedział coś takiego: „My wiemy, że ty nie nadawałeś.”. Jeszcze wcześniej, bo to mogło być ważne, któryś ubek z tych, którzy mnie przesłuchiwali, pytał o rodzinę, czy wszyscy zdrowi. Ja wiedziałem, o co jemu chodzi: szuka jakiegoś chorego, żeby mnie podręczyć. Wiedziałem, jakie są ich metody, więc mówię, że mamę mam bardzo chorą. „No widzisz, ty tu siedzisz, mama umrze.” I jakieś takie rzeczy zaczęli opowiadać, ale ja wiedziałem, że oni to będą mówić, więc schyliłem głowę i mówię: „Co za baran! Jak może tak się dawać podpuszczać.”. W każdym razie jak płk Jeleń już zaczął konkretne przesłuchanie (wyjął ten protokół przesłuchania, zaczął to wypełniać) i zadał pytanie skąd dokąd doniosłem, to właściwie wiedziałem, [że] na papier już nie ma sensu gadać bzdur o jakimś znalezieniu czy czegoś takiego. Oni to wykorzystają, czy nawet się będą czepiali jakiś zdań, kontynuowali jakiś wątek, próbowali rozwijać. Powiedziałem, że „ja już cztery razy mówiłem jak to było i w związku z tym, że nikt mi nie wierzy, doszedłem do wniosku, że bez sensu jest odpowiadanie na wasze pytania i w ogóle rozmowa na ten temat. Ja powiedziałem jak było. Jeśli nie wierzycie, to ja od tego momentu odmawiam udzielenia odpowiedzi na wszystkie pytania.” I zakończyłem żądaniem widzenia z moim adwokatem. Zakończyłem: „Żądam widzenia z moim adwokatem!”. Jeleń spojrzał na mnie zdziwiony. Mówi: „Powiedz nam tylko skąd dokąd to niosłeś! Powiesz nam skąd dokąd niosłeś, to od razu wołam funkcjonariusza i zawieziemy ciebie do mamy.”. Miałem 22 lata, wyglądałem na 17 lat, a o chorej mamie już wspomniałem, więc być może on wiedział, że mama chora i próbował jakoś to wykorzystać. Ja mówię, że „ja powiedziałem, jak to było i właściwie ja już nie mam nic do powiedzenia”. On mi: „To idziesz zaraz do aresztu!” I ja Bogu dziękowałem. Schyliłem głowę i mówię: „Boże, dzięki!”, ja byłem tak śpiący. Ja się bałem, że oni będą mnie całą noc przesłuchiwać, że będą mnie męczyć. A jak on powiedział „do aresztu!”, to ja naprawdę byłem szczęśliwy, bo wiedziałem, że wypuścić mnie nie wypuszczą. Byłoby wręcz głupie przypuszczać, że oni mnie wypuszczą. Wiedziałem, że na pewno będę siedział. Przygotowywaliśmy się na 4, 5 roku. Wiedziałem, że to się znikąd nie bierze. Są ci więźniowie polityczni, będą na pewno wśród nich. Prowadzili mnie do piwnicy na Kochanowskiego, tam jest areszt. Po dwóch dniach przewieźli mnie na Młyńską. W trakcie jazdy ubecy, którzy mnie przewozili mówią: „No widzisz, jaki ty jesteś głupi, ty nic nie mówisz, a ten twój kolega bardzo ładnie wszystko sypie, bardzo ładnie. I ty będziesz siedział, a on jeszcze dzisiaj będzie [w areszcie], a jutro już wychodzi. I wszystko, a ty posiedzisz 2 lata.”. Ojej 2 lata? Liczyliśmy, przypuszczaliśmy, że to będzie 4,5 roku. Ojej tylko 2 lata? Ja byłem prawie

szczęśliwy, że to nie będzie 4, 5 roku. Jak on powiedział 2 lata, ja byłem bardzo zadowolony z tego powodu. Dobra wiadomość. Zawieźli mnie na Młyńską. Tam wiadomo: ważenie, mierzenie. Pamiętam stamtąd taki epizod. Przywieźli mnie w piątek. Było badanie krwi. To był 84 rok. Rękę czymś obwiązują, żyła wychodzi i jakaś pielęgniarka próbuje wbić tę igłę i nie może mi wbić. I w końcu wbiła tę igłę. Ja mówię: „Co się dzieje? Dlaczego? Dlaczego ta igła nie chciała wejść w tę moją żyłę?” „Bomówi ta kobieta- my igły wymieniamy w poniedziałek, a dzisiaj jest piątek.” Więc miałem z całego tygodnia. I pół roku później wyszła w Polsce pierwsza informacja o AIDS, że zarażenia są przez strzykawkę. Akurat w więzieniu to słyszałem, [więc] sobie przypominałem tę scenę z przekuwaniem mojej skóry na Młyńskiej. Zaprowadzili mnie do celi, w której siedział jeden człowiek: Waldemar Dybalski. Postać dosyć ciekawa i znana. Znana przynajmniej kilku osobom, które siedziały. To był człowiek na pewno z wyższym wykształceniem. Powiedziałem mu, że zdawałem na socjologię, i że po wyjściu z więzienia będę zdawał egzaminy na socjologię, będę próbował po raz kolejny. On podał mi mniej więcej 15 pozycji z klasyki socjologii: imię, nazwisko autora i tytuł. Jak byłem na socjologii, ja to sprawdziłem. Wszystko bezbłędnie. Waldemar Dybalski mówił, że siedzi za kontakty z CIA, coś o mikrofilmach mówił, dużo opowiadał o Leszku Moczulskim, dużo opowiadał o Jędrku Pokorskim, takim terroryście ze Śląska, który wysadził w 82 roku cokół, gdzie był przymocowany sierp i młot, mówił też, już nie pamiętam, czy o Michniku, czy o Kuroniu, mówił o ludziach z podziemia. I opowiadał takie szczegóły, których ja nie mogłem znać. Opowiadał o nich, jak o swoich świetnych znajomych, żeby się uwiarygodnić. I byliśmy razem w celi 3,5 miesiąca. Mnie wprowadzono do tej celi w piątek. Mógł być wtorek albo środa w następnym tygodniu, on powiedział do mnie: „Przygotuj się! W niedzielę po południu będziemy rozmawiać na ważny temat!” Ja mówię: „Do niedzieli, środa, jest mnóstwo czasu, ja nigdzie się nie wybieram, ale okej przygotuję się.” Niedziela po południu, sparzył czaj, ja nie miałem nic, ani herbaty (wiadomo, że jak aresztują, to trzeba poczekać na szczołeczkę do zębów i wszystko inne). Zaparzył czaj i mówi do mnie, że chce ze mną porozmawiać. „Okej, dobrze.” „Wiesz co, ja zauważyłem, że ja tobie tyle o sobie powiedziałem, a ty traktujesz mnie jak ubeka –mówi- przecież jak tak może być? Ty w ogóle nie masz do mnie zaufania!”-w ten sposób. A ja mówię: „Wie Pan –bo ja do niego na pan przez całe 3,5 miesiąca (jak wszyscy w więzieniu są na ty, [tak] ja do niego per pan się zwracałem)- ja taki jestem, taki skryty, taki jakiś nienormalny. Co ja mam mówić? To jest jakieś nieporozumienie, to wszystko się wyjaśni.” A on: „Ty gówniarzu, ty smarkaczu, za kogo ty mnie masz?”. Dosłownie w jednej chwili eksplodował. Strasznie wrzeszczał. Bałem się wręcz, że jakiegoś ataku dostał, ale jakoś to przetrwałem. Później było wszystko dobrze, już nie wracał do tej rozmowy. On wychodził. Mówił, że ma widzenie. Wychodził niby na spotkanie z rodziną, ale przynosił makowiec, bo to akurat był wtedy okres po Bożym Narodzeniu. Przyniósł makowiec zawinięty w szary papier ze sklepu. Widać, że ubek mu przyniósł makowiec, żeby jakoś to wyglądało. Ja dostawałem paczki. On zupełnie żadnej pomocy, żadnych kontaktów, żadnej korespondencji nie dostał, nic zupełnie. I ja dostałem paczkę świąteczną, troszeczkę świerku. Nawet bardzo mile wspominam Wigilię. Z tego co wiem, to pomagała Solidarność Rolników Indywidualnych, tak że była jakaś taka kiełbasa dobra, same dobre rzeczy. Wszystko trafiło przed świętami. Oczywiście się z nim dzieliłem. Był opłatek. I ten człowiek, żal mi go było w pewnym momencie, wielokrotnie mi powtarzał; tak patrzy na mnie i mówi: „Ty sobie nie wyobrażasz, jak ja chciałbym być w twojej skórze.”. Pewnie, on miał 50 parę lat, siedział w więzieniu nie wiadomo za co, nie wiadomo ile jeszcze lat, a ja siedziałem za sprawę polityczną, tak że biedny, strasznie cierpiał. Jeszcze w więzieniu, jak już byłem po wyroku (zawieźli mnie do Strzelina pod Wrocławiem) spotkałem Jędrka Pokorskiego i rozmawialiśmy. Ja mówiłem o Dybalskim.

A Jędrzek mówi: „Zaraz, Waldemar Dybalski, siedziałem z nim.” Okazuje się, że wozili tego człowieka po Polsce i on siedział z Moczulskim, siedział z Jędrkiem Pokorskim, w Poznaniu siedział z Januszem Pałubickim, z Frankiewiczem. Tak że ja poczułem się dowartościowany, no bo skoro przywieźli dla mnie Dybalskiego. Przecież w tym czasie siedzieli też inni. Oni przez 3,5 miesiąca próbowali do mnie jakoś dotrzeć przez Dybalskiego. I wszędzie występował pod tym samym imieniem i nazwiskiem: Waldemar Dybalski. Rozmawiałem z Januszem Pałubickim, z Maciejem Frankiewiczem, z Jędrkiem Pokorskim. On opowiadał o Moczulskim, opowiadał jako o swoich kolegach, a on ich znał z celi. Nie wiadomo ile lat siedział, nie wiadomo za co, nie wiadomo co z nim teraz. Ja chciałem go odszukać i z nim porozmawiać, bo jestem ciekawy jak wygląda jego historia. Krzywdy mi właściwie nie zrobił, nawet nieźle mi się z nim siedziało. To był inteligentny człowiek i dużo wiedział, dużo się od niego nauczyłem z historii. Był dobrze wykształcony.

To był polityczny czy kryminalny?

Nie, na pewno nie był polityczny. Na pewno kryminalny. Być może siedział za jakąś aferę gospodarczą. Wtedy była pamiętam srebrna afery, gdzie zapadły naprawdę bardzo duże wyroki, po 20-25 lat. Być może on z takiej afery pracował na skrócenie kary na przykład o połowę, czy coś takiego. Później siedziałem parę dni żołnierzem. Dziwna cela, cela dla skazanych na karę śmierci, od razu przy dyżurce strażników. Cela, w której wszystko było przymurowane, przymocowane, nic się nie ruszało, żaden taboret, nic. Wszystko było wmurowane na stałe i jedzenie podawali przez okienko. W normalnych celach otwierają całe drzwi i podają jedzenie, a tutaj było okienko. U mnie tego okienka nie używali, tylko otwierali drzwi. Tam siedziałem 8 dni sam. Przenosili z celi do celi, tak że nie siedziałem cały czas w jednej celi. Więźniowie opowiadają sobie różne historie. Koszmarnie się tam czułem. Było dwóch klawiszy: jeden był dla mnie potworem, drugi – Janek, był dobry. Janek jak mnie czasami prowadził z widzenia czy skądś, to brał mnie do dyżurki i mówił: „Co tam, jak? Wyjdiesz czy nie wyjdiesz? Kiedy cię wypuszczą?”. Nie pytał o sprawę, nie interesowało go za co, gdzie, dokąd niosłem, nie. On pytał właśnie: „Jak myślisz, jak to będzie?” - w ten sposób rozmawiał ze mną. Nie sądzę, żeby on był na ich jakiś usługach, bo przecież wewnątrz mieli ludzi, to po co im jeszcze klawisze, z którymi właściwie nie ma kontaktu. Klawisz otwiera drzwi, zamyka drzwi, prowadzi, nie odzywa się ani słowem tylko pokazuje: „widzenie” albo wchodził i: „spacer” - to żadna rozmowa. Pamiętam jak szedłem z rozprawy, [na której] dostałem wyrok. Ten Janek stał, akurat miał dyżur, i tak patrzył. Czekał i nie mógł się doczekać. Wziął mnie do środka: „I co? Jak poszło?”. Naprawdę bardzo dobrze go wspominam. Widać [było], że jakoś dobrze mi w tym więzieniu życzył. Jak zostałem w tej celi sam (on miał akurat dyżur jak mnie przenieśli), przyniósł mi szampon, bo dostałem akurat z domu szampon, rodzice przynieśli, i tak patrzy na mnie. W pewnym momencie mówi: „A nie będziesz się bał sam tutaj?”. Ja tak patrzę: „A kto mi tu coś zrobi? Jestem sam, drzwi zamknięte, krata na oknie, czego się bać?”. A on tylko tak spojrzął i poszedł sobie. I nie wiem, czy to on mi zasugerował, [czy] co to było, ale naprawdę coś dziwnego się w tej celi czuło. Nie wiem, być może jakąś energię wytwarzała, czy coś takiego. To było złamanie przypisów, bo z tego, co mi później mówił mój adwokat [wynikało, że] w śledztwie nie powinno się trzymać nikogo w celi samego, bo może popełnić samobójstwo. Zawsze jest ten drugi, który go pilnuje. Różne stany człowieka dopadają. I ta cela była rzeczywiście jakaś dziwna, ale przyszedł po 7 czy 8 dniach jakiś recydywista. Miał 42 lata, tragiczny życiorys: rozpoczął w domu dziecka, później poprawczak. W przeciągu tych 42 lat tylko 8 lat nie siedział, a tak to bez przerwy. I później byłem sam w celi, ale krótko. Łaźnia była w poniedziałek. Raz w tygodniu była kąpiel. Poniedziałek to był w ogóle najsympatyczniejszy dzień, bo była

łaźnia i grochówka. Grochówkę gotowali więźniowie dobrą. Naprawdę super dzień. Ja już byłem po kąpieli, czekałem na obiad i w pewnym momencie otwierają się drzwi i wchodzi człowiek. Jak go zobaczyłem..., no nie wiem, gdyby nie krata, to być może bym wyskoczył przez okno, bo potwornie wyglądał: łuki brwiowe strasznie grube, nos połamany na wszystkie strony, szczeka to samo. Jeszcze był po goleniu. Miał jakieś takie wrzody i po goleniu coś mu z nich ciekło, no potwór. I usiadł naprzeciw mnie i jedliśmy tę grochówkę, jeszcze do tego siorbał. Położył się na stół- koszmar. I zepsuł mi poniedziałek. Byłem wściekły. Ale z nim byłem krótko. [Potem był] Kaziu. Właściwie bardziej prymitywnego i tak ograniczonego człowieka to w życiu nie spotkałem. On chciał ze mną rozmawiać. Staralem się. Nie miałem z nim żadnego tematu. Nic. Zupełnie. On mi opowiadał jak kradł kiedyś pomidory albo komuś ukradł drabinę, i chciał, żebym ja jemu też coś opowiadał. „Ale ja nie mam takich przeżyć.” A on mówi: „No to opowiedz mi jak to u ciebie jest z dziewczynami?”. Ja mówię: „A wiesz co, to co z dziewczynami, to jest moja sprawa. W więzieniu o takich rzeczach w ogóle nie ma co myśleć. Po co?”. I on był wściekły, bo mówił, że ciężko mu się ze mną siedzi, bo ja w ogóle z nim nie rozmawiam. Ja w pewnym momencie nie wytrzymałem i mówię: „Wiesz, ja mam tutaj książki z historii, z polskiego, z literatury, bo przygotowuję się do egzaminu na studia. To może porozmawiamy o historii?”, bo już nie wytrzymałem. On wtedy wściekał się strasznie, a był bokserem. Z tego co mówił boksował 8 lat i rzeczywiście widać po nim było, że był bokserem, że w jego życiorysie taki okres miał naprawdę miejsce. Ale jak byliśmy we dwóch, to był raczej spokojny. Przyszedł Rysiu, świadek Jehowy, z którym od razu się umówiłem. Ja mówię: „Ja jestem katolikiem, ty jesteś jehowitą. Ja ciebie nie będę próbował przekonywać do swoich racji, a ty nie przekonuj mnie do swoich. Nie jesteśmy tutaj z wyboru, jesteśmy, bo musimy. Ty siedzisz za wojsko (on siedział za wojsko), a ja siedzę tu za jakąś tam sprawę. Tak że podyskutujmy na wszystkie inne tematy, ale ten sobie odpuśćmy.”. No ale on szybko doszedł do porozumienia z bokserem, bo ten jehowita był z Okonka, a bokser był z Kołobrzegu i uznali, że są ziomkami, to jest Pomorze, a ja jestem z Poznania, więc razem na mnie. Jehowita był cwany. Krótko wytrzymał, jeśli chodzi o tę umowę. Próbował uderzać w Kościół katolicki. Ja nie podejmowałem tematu. Za to ten prymitywny bokser bardzo chętnie razem z nim na mnie [nastawał] i sytuacja w celi stawała się coraz bardziej niedobra. Po jakimś czasie ten bokser był już tak zdenerwowany, że mówi: „Wychodź na garści!”. Chciał się ze mną bić. No przecież ja się z bokserem nie będę bić, bez przesady. Mówię: „Nie tam Kaziu, daj spokój!”. A on: „Wychodź na garści!” Jakoś się z nim nie biłem, udało się go jakoś od tego pomysłu odwieść. W każdym razie był nie do zniesienia. To był taki najtrudniejszy okres po aresztowaniu, właśnie 2,5 miesiąca z nim. On potrafił powiedzieć coś takiego: „Słuchaj, jeśli dzisiaj zaśniesz, to jutro rano już się nie obudzisz!”. Cella jest zamknięta. Wyjść nie można. W nocy jak się dzwoni po klawisza, to zanim on pójdzie do dowódcy zmiany po klucze, to otwarcie celi trwa mniej więcej pół godziny do 45 minut. Ja wierzyłem temu Kaziowi, bo on rzeczywiście [był] nienormalny, po prostu chory człowiek. Nie wiem do której nie spałem. W pewnym momencie mówię: „a wszystko mi jedno”. I zasnąłem. I się obudziłem rano. Tak że się ucieszyłem, że Kazio mnie nie zabił. Tam różne świństwa robił. Pamiętam, była telewizja. Telewizję się oglądało jak klawisz otworzył drzwi i powiedział: „telewizja!”. No to wtedy wiadomo było, że przyszedł nasz czas i idziemy oglądać. Czasami klawisz powiedział: „telewizja o 17!”, a czasami powiedział: „telewizja o 19!” albo „o 20 na mecz”. I tak człowiek nie wiedział, kiedy ta telewizja będzie. [Raz] klawisz wszedł i mówi: „telewizja!”. I akurat był dziennik telewizyjny, tak że dosyć dobrze trafiliśmy. No ale w dzienniku telewizyjnym były jakieś wypowiedzi rodziców z jakiejś małej miejscowości, w której ksiądz na lekcji religii uderzył chłopca w twarz. Ja mówię: „No to teraz dopiero będę miał w celi.”. Weszliśmy tylko do celi, ja

mówię: „Słuchajcie, jestem wykończony, śpię. Od razu idę spać.”. A Kaziu podchodzi, mówi: „Nie, ty nie będziesz spał teraz!”. Ja mówię: „dlaczego nie?”. „Będziemy rozmawiać!” Ja mówię: „O czym chcesz rozmawiać?”. „Widziałeś, co pokazali w telewizji, tego księdza.”, i tam od najgorszego tego księdza. Ja mówię: „Słuchaj, tu nie ma o czym rozmawiać. Ty wiesz co, powinniśmy teraz poprosić klawisza, żeby nam drzwi otworzył, powinniśmy pojechać do tej miejscowości, pogadać z księdzem, pogadać z tym chłopakiem, z ludźmi, co się tam właściwie wydarzyło. I wtedy możemy rozmawiać- mówię- teraz to o czym ty chcesz rozmawiać? No przecież wiadomo, że telewizja tobie o Kościele nic pozytywnego nie powie.”. „Nie, nie, będziemy rozmawiać!” i znowu: „Chodź na garści, chodź na garści!”. Miałem widzenie z mamą, przyszła mama i brat. Ja byłem tak wykończony, (pamiętam, raz mi się to zdarzyło) że się popłakałem i powiedziałem, że nie dam rady, że już koniec, że następnego widzenie już nie będzie. Naprawdę myślałem o samobójstwie. Byłem już tak wykończony psychicznie. Prosiłem mamę, by adwokat przychodził. Mówię: „Niech on, jak będzie gdzieś tutaj w okolicy, niech przyjdzie, niech mnie wyciągnie z celi na 15 minut, na pół godziny, obojętnie na jak [długo], no na chwilę, żebym tylko mógł wyjść z tej celi.”. Mama przekazała adwokatowi, ale adwokat nie miał czasu, żeby przyjść. Zresztą nie chcę tutaj narzekać, bo włożył bardzo dużo pracy. To była funkcja społeczna. W każdym razie bardzo mi były potrzebne kontakty z adwokatem, i tutaj mój adwokat nie za bardzo się spisał. Później przyszedł do celi. Któregoś dnia jakoś po południu otwierają się drzwi. W celi staje człowiek w nienagannie wyprasowanym garniturze, błękitna koszula, krawat, włosy przystryżone, wąsik. Taki elegant. Tylko ta miska aluminiowa i szary koc do niego nie pasowały. To był Leszek Pieczora, absolwent technikum budowlanego w Poznaniu, który nielegalnie zajmował się [handlem sztuką], bo wtedy handel sztuką był nielegalny. Antykwiariaty tylko państwowe, nie można było mieć antykwiariatu, a on handlował jakimiś obrazami. Był zamieszany w kradzież w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu. To był chyba 82 rok, to była taka bardzo poważna kradzież. Duże straty tutaj w Poznaniu. On też był podejrzewany o to, że dowodził grupą, która przeprowadziła tę akcję. W każdym razie ja się ucieszyłem, bo on był z Poznania i było nas dwóch na dwóch. Zresztą ja mu to powiedziałem, że „nikomu nie życzę, żeby się znalazł się w więzieniu, ale jak cię tutaj zamknęli, [to] ja się bardzo cieszę, że przyszedłeś do tej celi”. I było nas dwóch i już było lepiej. Już bokser był jakby spokojniejszy. Z Leszkiem mogłem rozmawiać na bardzo wiele najróżniejszych tematów, bo ten świadek Jehowy, to też taki chłopaczek. On te swoje formułki, regułki, te objaśnienia znał. Pracował nad tym bokserem, nawet się umówili, że ten bokser będzie z nim chrzest [przyjmował]. Ten już mu załatwił duży basen, bokser się ucieszył, że będzie się kąpał. Jakieś takie rozmowy prowadzili, ale ja już miałem z nimi spokój. Dostałem wyrok. To było 12 lipca. Sprawa trwała 3 dni, w trzecim dniu dostałem wyrok. Prokurator żądał dwóch lat, dostałem półtora roku. Na sprawie też odmówiłem składania jakichkolwiek zeznań, tak że odczytali moje wyjaśnienia ze śledztwa. Tam nic nie było. Z tego co mi opowiadano ludzi było tyle, że nie wszyscy weszli na salę. Adwokat wiedział (zresztą mi powiedział), że nie dostanę w zawieszeniu, że nie ma absolutnie żadnych szans. „Gdyby mieli jeszcze jednego, dwóch to jeszcze, ale- mówię- sam, nie, to w ogóle nie ma co liczyć.” Mama rozmawiała z innym adwokatem. Inny adwokat, który by mnie bronił już za pieniądze, powiedział, że on spróbowałby jakoś załatwić zawieszenie, ale musiałbym za wszystko, co zrobiłem przeprosić, przyrzekać, że więcej nie będę, żałować tego i takie rzeczy. Jak mama mi to powiedziała, to ja nie mogłem tego zrobić, tak że powiedziałem: „Nie, ten temat odpada. To już zostajemy przy tym.”. I dostałem półtora roku. Miało być 4,5, dostałem 1,5, ale też nie było lekko. W każdym razie wywieźli mnie do Strzelina. Tam siedziałem z politycznymi. Było kilkunastu politycznych. Był Jędrzek Pokorski z Wodzisławia Śląskiego. Ostatniego

kwietnia wysadził taki cokół, na którym przymocowany był sierp i młot w Wodzisławiu Śląskim. Przy tym [pomniku] zawsze przechodził pochód pierwszomajowy, tak że w tamtym roku trasę pochodu musieli zmieniać, bo cokołu nie było. Z tego, co mówił to sierp na jakimś bloku się zawiesił, młota nie znaleźli. Ale dostał za to 6 i pół roku i siedział do samego końca. Żadna amnestia go nie objęła- czyn terrorystyczny. Siedziałem też z chłopakami z Lubina, z górnikami. [Podczas] demonstracji w Lubinie, w sierpniu 82 roku, zomowcy zastrzelili 3 osoby. Ci górnicy, koledzy tych zastrzelonych, widzieli, że tam był bardzo aktywny ormowiec, wyłapywał demonstrantów, szalał na demonstracji. Oni wiedzieli, gdzie on mieszka. Podłożyli ładunek wybuchowy pod drzwi i wysadzili te drzwi. Mieli szczęście, bo drzwi wejściowe przeleciały przez korytarz, wyważyły drzwi do łazienki, znalazły się w wannie. Siła wybuchu była potężna. To była noc. Gdyby ktoś przechodził, to wtedy na pewno byłaby ofiara śmiertelna. Nikt nie zginął. Był ogromny wybuch. Drzwi od windy, które otwierają się na zewnątrz leżały w windzie, tak że bardzo solidny ładunek podłożyli. Siedzieli w sumie czterech albo pięciu. Wyroki chyba 8,5 roku najwyższy wyrok- Zbyszek Korczewski. Później siedzieli ludzie z Krakowa: Grzegorz Surdy, już był recydywistą. Staszek Piotrowski z Jeleniej Góry dostał 10 miesięcy za rozrzucanie ulotek. Siedział Zbyszek Kurpanik z Knuruwa, który właśnie wracał z dyskoteki i też ukradł, skądś tam odkręcił jakiś sierp i młot. W domu miał flagę amerykańską, no i go zaliczyli do politycznych. On taki dyskotekowy chłopak. Jak tylko słyszał muzykę z „betoniary”, jak to się mówi, czyli z tego radiowęzła, to wyskakiwał na środek celi i tańczył. Nie miał zielonego pojęcia, o tym co się działo w kraju, ale był polityczny. Z Lubina za ulotki siedzieli paru górników. Tak siedziałem do 3 grudnia 85 roku. 13 października 85 roku, to chyba był dzień wyborów, mieliśmy jednodniową głodówkę protestacyjną, a od 26 października głodowaliśmy 18 dni. Była taka sytuacja, że przywieźli do więzienia nowych skazanych politycznych i chcieli ograniczyć nam kontakty. Chcieli ich ulokować w innym skrzydle. To był taki czas, kiedy politycznych było już niewiele i chcieli do tego stopnia odebrać politycznym przywileje, żeby ich status zrównać z kryminalnymi: buty więzienne, spodnie więzienne, całe te mundurki więzienne. W Strzelinie też byli internowani działacze „Solidarności”. Na początku mieli bardzo dużo przywilejów, nawet mieli pootwierane cele, mieli cywilne ubrania. W międzyczasie już przywożono aresztowanych i skazanych za przestępstwa polityczne, i te prawa od internowanych automatycznie przeszły na politycznych. A jak ja przyszedłem, był akurat taki czas, kiedy politycznych było już niewiele (przynajmniej w Strzelinie), 14-15 osób. Chcieli nam to odebrać. Nie chciałem dać butów, dostałem raport. Miałem jakiegoś pecha, bo raportów dostawałem najwięcej ze wszystkich politycznych, z którymi siedziałem. Zaprzyjaźniłem się w więzieniu z Jędrkiem Pokorskim i z Grzegorzem Surdy. I we trzech jakoś walczyliśmy z tymi klawiszami, nie dawaliśmy się. Walczyliśmy o to, żeby nam nic nie zabrali. No a raporty dostawałem, [bo] jakoś tak się zdarzało, że to mnie zawsze na czymś przyłapali. I między innymi dostałem 10 dni „twardego łoża” w celi izolacyjnej. To było takie ciekawe przeżycie. To była taka cela, gdzie na noc otwierało się [łóżko], w dzień łóżko było zamknięte na kłódkę i łańcuch. Cela była długa na długość łóżka, szeroka na półtora metra i kończyła się kratą na całą ścianę. Za kratą była umywalka i kibelek. I później była następna ściana i już furta, takie solidne drzwi więzienne. A z drugiej strony była kratka na całą ścianę i mniej więcej 60-70, może 80 cm za kratką okno, za którym też była kratka. Tak że chodziło o to, żeby nie można było dojść do okna, i dlatego mówili na to „tygrysowa”, bo się siedziało w takiej klatce: tutaj kratka, tutaj kratka, i w środku tylko łóżko, które zapinali na dzień. Nie można było się położyć. Łóżko otwierali: jakaś tam rama metalowa i w tym dechy, 2 koce i spać. I tak dostałem 10 dni „twardego łoża” w takiej celi. W tym czasie 26 [października] rozpoczęła się właśnie głodówka. Ja nie wiedziałem dlaczego głodówka. W ogóle nie wiedziałem, że została ogłoszona. Nie miałem kontaktu z

kolegami. Któregoś dnia rano (chyba właśnie to było 26.) przychodzi klawisz i mówi, że [polityczni] powiedzieli, że masz iść po śniadanie i im przynieść. A ja mówię, że nie: „Ja czekam aż oni mi przyniosą to śniadanie.”, bo oni zawsze przynosili śniadanie. Klawisz przychodzi za chwilę i mówi: „Oni już są po śniadaniu, powiedzieli, że masz sobie iść sam.”. Ja powiedziałem: „Nie, oni mają mi przynieść!”. Po chwili klawisz przychodzi z pospolicymi i mówi, że mam wziąć od nich śniadanie. Ja mówię: „nie!”. Klawisz w końcu mówi: „Rozpoczęli głodówkę. To idź teraz po śniadanie, bo oni rozpoczęli głodówkę!”. A ja mówię, że nie, że ja czekam aż oni mi przyniosą jedzenie. „No oni głodują. A ty głodujesz? Dlaczego głodujesz? No to powiedz dlaczego głodujesz?” A ja mówię: „Ja nie głoduję, czekam aż oni przyniosą mi śniadanie.”. I to wszystko. Powiedziałem: „Nie będę tak długo jadł, aż oni nie przyniosą mi jedzenia.”. I tutaj udało mi się wybrnąć, bo rzeczywiście nie wiedziałem zupełnie, co się dzieje, a to była właśnie ta sytuacja, że przywieziono 5 osób po wyrokach z aresztu we Wrocławiu i chcieli ich na zupełnie innych warunkach oddzielić, odizolować od nas.

A nie próbowali was zmusić do jedzenia?

Nie, dawali wodę, słoną wodę. Była taka bardzo filmowa scenka: klawisz miał iść do domu, otwiera drzwi od celi (ja siedziałem sam, wiadomo, że nikt tego nie słyszy, bo wszystko było odizolowane), wszedł i mówi do mnie: „Co, głodny jesteś, nie?”. A ja mówię: „Nie, właściwie już nie. Wszystko jest okej.”. I on wyciąga jabłko, takie duże jabłko. Piękne, takie lśniące jabłko i mówi: „Masz to jabłko, zjedz! Nikt nie będzie wiedział. Zjedz, no jak tak bez jedzenia!”. A ja też wiedziałem o głodówce, (rozmawialiśmy [o tym] w celi, jak byliśmy razem), że była taka zasada, że jak już się rozpocznie głodówkę, to nie ma co próbować jedzenia. Po prostu kategorycznie trzeba odkładać, odrzucać. Nie wolno zrobić sobie: „A, zjem sobie kawałeczek chleba.”. Jeśli się już podejmuje głodówkę, to trzeba ją do samego końca prowadzić i nic nie podjadać, bo to tylko na szkodę działa. Tak że za jabłko podziękowałem i nie wziąłem od niego jabłka. Nie pamiętam dokładnie, kiedy głodówka się skończyła, ale mniej więcej 2 tygodnie później minął mi rok w więzieniu. I wezwali mnie. Wiadomo że od czasu do czasu do więzienia przyjeżdża Sąd Penitencjarny, który albo dawał warunkowe zwolnienie albo nie dawał. Przyjechał Sąd Penitencjarny i klawisz przychodzi, i mówi, że Sąd jest, i że mam tam iść. Już nie pamiętam w jakich słowach to powiedział, ale w każdym razie, że mam iść na tę rozprawę. Ja nie chciałem iść, bo mówię: „W sumie naczelnik sam powiedział (na samym początku), że trzeba zasłużyć na warunkowe, więc –wtedy myślę- po co ja tam do nich pójde, skoro ja w ogóle nie mam żadnych szans na warunkowe. Bo jak? Najwięcej raportów, „twarde łóż”, izolotka, 2 tygodnie temu skończyła się osiemnastodniowa głodówka, Głos Ameryki, Radio Wolna Europa mówiły o tym, a ja teraz pójde po warunkowe?”. Ale tak sobie myślę z drugiej strony: „Właściwie jest to jakieś doświadczenie. Najprawdopodobniej już nigdy w życiu nie będę stawał na warunkowe, tak że pójde zobaczę jak to jest.”. No i jest sąd: był sędzia, prokurator i naczelnik więzienia. Stawiają mnie przed sądem. Ja nie wiem, to chyba sędzia się odezwał: „O co prosicie?”. Ja mówię: „O nic nie proszę.”. Oni chcieli, żebym ja ich poprosił o warunkowe zwolnienie. Ja mówię: „O nic nie proszę.”. „Jak to o nic nie prosicie, przecież my warunkowe dajemy. O co prosicie?” Ja mówię: „O nic nie proszę.”. „Ale tu adwokat napisał pismo.” „No to jak adwokat napisał pismo, to adwokat prosi, a nie ja.” Wiedziałem, że mogę sobie z nimi w ten sposób rozmawiać. Adwokata nie miałem, adwokat nie przyjechał na tę rozprawę. Wiadomo, że z więzienia miałem negatywną opinię. Zresztą teraz niedawno przeglądałem akta więzienne i rzeczywiście ta opinia jest taka, że „nie kwalifikuje się do warunkowego zwolnienia,” że krnąbrny, w ogóle najróżniejsze rzeczy, że raporty- wszystko tam napisali. I doszło do takiej bardzo dziwnej sytuacji: najpierw naczelnik się wypowiedział, że nie, że się nie należy, że tutaj

opinia jest negatywna; sąd: „bardzo proszę Prokurator”; i prokurator mówi: „No, tutaj skazany jest młody wiekiem. Cechą młodości jest właśnie takie przeciwstawianie się, taka krnąbrność. A właściwie to przestępstwo związane było z poglądami politycznymi. Trudno powiedzieć czy poglądy te zmieniają się w życiu, czy nie (ja tak patrzę, co on mówi?- prokurator!) – i prokurator mówi- ja jednak wnioskuję, żeby dać warunkowe zwolnienie.”. Przyszedłem do celi, mówię: „Dostałem warunkowe zwolnienie.”. Wszyscy zaczęli się ze mnie śmiać: „gdzie?, niemożliwe”. Ale rzeczywiście dostałem warunkowe zwolnienie i 3 grudnia wyszedłem z więzienia i to koniec mojej historii.

A wrócił Pan potem do jakiejś działalności opozycyjnej?

Po więzieniu kolportaż. To był drobny kolportaż. Radio było dla mnie zbyt ważne, żebym mógł do tego wrócić, zwłaszcza, że przychodzili ubecy. Byli u mnie 2 razy i mówili mi, kiedy spotkałem się z Frankiewiczem, kiedy spotkałem się z Pałubickim, daty mi podawali. I wchodzenie w radio było zupełnie bez sensu, bo ja bym miał tak ogromne wyrzuty sumienia, jeśli ktoś wpadłby przeze mnie, że wolałem tego uniknąć. A poza tym[kiedy] wyszedłem 3 grudnia, miałem po tej głodówce troszeczkę kłopoty z wątrobą, tak że byłem jakiś czas w szpitalu. Później byłem w sanatorium. Przygotowywałem się jednocześnie do studiów. W czerwcu zdawałem egzaminy na socjologię. Dostałem się na socjologię. I właściwie Maciej Frankiewicz mnie mocno namawiał, ażebym się zajął radiem „Solidarności Walczącej”. Być może nie powinienem zwracać uwagi na to i rzeczywiście działać dalej w radio, ale –ja mówię- miałbym wyrzuty sumienia. Tak się zastanawiałem dlaczego ja tego mieszkania tak broniłem, dlaczego ja odmawiałem składania wyjaśnień? Mi chyba chodziło o to, że ja nie mógłbym spojrzeć ludziom w oczy, gdyby coś mi nie wyszło. Ja naprawdę bardzo współczuję ludziom, którzy mają inne cechy osobowości, bo mi się wydaje, że z tym jest to związane jak kto się zachowa w danej sytuacji, że jacyś ludzie dali się złamać. Bardzo mi ich żal, bo wiem, że mi by było też z tego powodu jakoś tak niedobrze. Ja jestem pewien, że to nie moja zasługa, jest to działanie Ducha Świętego przede wszystkim i samego Boga, bo naprawdę, nie wiem, właściwie wyszło mi to tak jak powinno wyjść. I teraz jak ja taką historię komuś opowiem, to ktoś mi powie: „Ty, ale ty się kreujesz na bohatera.”, a tu nic nie ma wymyślnego.

A jakieś negatywne skutki tych represji, więzienia, być może nie dotyczące bezpośrednio Pana, o znajomych Pan mówił że nie, ale może rodzina, skutki materialnej natury...

Nie, ja wyszedłem w grudniu 85, później był już 86 rok, później były studia. Ja jestem ogromnie wdzięczny za pomoc jakiej doznałem od ludzi, którzy byli niemniej ważni dla podziemia, od osób, które drukowały, kolportowały. To byli ludzie, którzy pomagali też finansowo, którzy pomagali w ten sposób, że [gdy] wyszedłem z więzienia, miałem świetną opiekę. Ja miałem od razu wszystkie badania zrobione. I to było bardzo ważne, że ktoś się mną interesował, że nie zostałem tak zupełnie sam.

To byli ludzie związani z „Solidarnością”?

To byli ludzie związani z Komitetem Pomocy.

Czyli z dominikanami?

Nie tylko. Z dominikanami też, ale to byli ludzie, którzy luźno byli związani z Komitetem.

Jakiego charakteru była to pomoc?

To była pomoc lekarska, tak jak powiedziałem. Miałem wszystkie badania zrobione, Taki doktor nieżyjący, nie pamiętam nazwiska, już wtedy był starszym człowiekiem, walczył w Powstaniu Warszawskim. Byli tacy ludzie, którzy mieli w miarę proste

życiorysy, tak mi się przynajmniej wydawało. Być może to idealizowałem, bo to też człowiek młody, to zupełnie inaczej postrzega. Tak że czułem tę pomoc. To było bardzo sympatyczne, miłe i takie wzmacniające. I to była taka solidarność rzeczywiście.

Czyli w zasadzie trudno mówić o jakiś trwałych, negatywnych skutkach tamtej działalności? Poza oczywiście aresztowaniem: to samo w sobie jest negatywne doświadczeniem.

Nie, w tej chwili nie mam żadnych kłopotów z wątrobą. Nie choruję. Studia skończyłem. Pracowałem w Radio 'S' w Poznaniu, co prawda tylko 3 miesiące. To było od lutego 91 roku. Później po 3 miesiącach (miałem chyba miesiąc przerwy) rozpocząłem pracę w radiu „Merkury”. Z radiem „Merkury” byłem związany może 4 lata jako reporter, dziennikarz. Później byłem w Gazecie Poznańskiej dziennikarzem, szefem działu. Później byłem rzecznikiem prasowym w spółce akcyjnej, giełdowej Meble Oborniki. Firma wtedy liczyła 1300 osób, obecnie niestety nie istnieje. Później byłem rzecznikiem prasowym Wojewody Wielkopolskiego. Za rządów AWS wojewodą był Stanisław Tam. Ja byłem jego rzecznikiem prasowym. Bezpośrednio po odejściu z urzędu (wybory wygrało SLD) zaproponowano mi pracę w Przewodniku Katolickim. Zostałem zastępcą redaktora naczelnego. Przez 4 i pół roku pracowałem w Przewodniku Katolickim. Udało mi się wprowadzić bardzo, wydaje mi się, dobre zmiany. Dla Przewodnika w tym czasie pisał Rafał Ziemkiewicz, Grzegorz Górny, Jerzy Marek Nowakowski, Marysia Przełomieć, Krzysztof Skowroński. Marysia jeszcze pisze. Wprowadzałem Grzegorza Górnego. Grzegorz pisał co tydzień. Jerzy Marek Nowakowski pisał co tydzień. To są wszystko współpracownicy z Warszawy. Maciej Rybiński miał pisać. Chciałem, żeby Kazimierz Orłoś jakieś opowiadania pisał. Chciałem z Przewodnika zrobić dobre pismo konserwatywne. I odszedłem. Dałem się kupić Niemcom do Tygodnika Rolniczego, z którego chciałem zrobić społeczne pismo dla mieszkańców małych miejscowości i wsi, włącznie ze zmianą nazwy: zamiast Tygodnik Rolniczy coś takiego zupełnie obojętne. Tygodnik Rolniczy niestety nie wyszedł, bo nie dogadałem się z Niemcami. Tak że krótko pracowałem w Tygodniku Rolniczym: to było mniej więcej 3-4 miesiące.

Ostatnie pytanie dotyczące Pana obecnej sytuacji: czy mieszka Pan sam, z żoną?

Mieszkam z żoną i pięciorgiem dzieci. Mieszkam na Śródce w Poznaniu. Pracuje w IPN w Poznaniu. Materialnie odczułem tę zmianę bardzo mocno. Moja żona pracuje w domu. Wychowuje dzieci. W IPN pracuję od 9 miesięcy i jakoś do budżetówki nie mogę się zupełnie przyzwyczaić. Ja jestem oczywiście wdzięczny szefostwu poznańskiego IPN za to, że mnie zatrudnili (praca jest bardzo ciekawa), ale jest poważny problem z utrzymaniem rodziny.

A jaki jest stosunek Pana rodziny do działalności opozycyjnej?

Bardzo pozytywny. Ojciec walczył. Naprawdę był dzielny. Pisał gdzie się dało: do Kiszczaka, do Jaruzelskiego, do Prymasa. Wszędzie wypisywał i, Prymasowi nie, ale Kiszczakowi to się nawet odgrażał czy coś takiego. Był bardzo mocny. Słał listy i do Wolnej Europy.

I ostatnie pytanie: czy zamierza Pan się ubiegać o jakieś odszkodowania?

Nie. Ja uważam, że to jest nieporozumienie. Ja oglądałem jedną taką relację z procesu odszkodowawczego. Nie pamiętam dokładnie, ale pani, która była przez 3 miesiące internowana, sędzia powiedział, że ona dostanie 2 tysiące czy 3 tysiące odszkodowania, bo przecież miała wyżywienie za darmo. Ja tak współczuję tym ludziom. Mi trochę pomaga rodzina. Jakoś daje się to wszystko spiąć, ale tak czy tak myślę o zmianie pracy, bo tak zbyt długo nie da się. Chociażby wyżywić pięcioro dzieci. Starsza córka ma 18 lat, syn ma 16, kolejna córka ma 15, kolejna córka ma 9 i

najmłodszy syn ma 5. I wszystkie dzieci przepuszczamy przez Szkołę Muzyczną przy Bydgoskiej, przez szkołę podstawową. Grały: Marta na oboju, fortepianie, Janek perkusja, gitara, też fortepian trochę, Weronika skrzypce, flet, fortepian, Hania wiolonczela, na razie na wiolonczeli tylko. Tak że taki zestaw mamy.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.